

W OBJĘCIACH JASNOŚCI

Betty J.Eadie

Betty J. Eadie jest półkrwi Indianką; jej matka pochodziła z plemienia Siuksów. Dzieciństwo i młodość spędziła w stanie Nebraska oraz w indiańskim rezerwacie w Południowej Dakocie. Obecnie jest żoną emerytowanego lotnika wojskowego, matką ośmiorga dzieci i babką licznych wnuków.

Tytuł oryginału
EMBRACED BY THE LIGHT

Ilustracja na okładce *Zygmunt Zaradkiewicz*

Redakcja *Lucyna Lewandowska*

Redakcja techniczna *Janusz Festur*

Licencyjne wydanie klubu „Świat Książki”

za zgodą Wydawnictwa PRIMA

Copyright © 1992 by Betty J. Eadie Ali rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo PRIMA,

1995 © Copyright for the Polish translation by *Renata Kopczewska*, 1995

Świat Książki, Warszawa 1995 Druk i oprawa Białostockie Zakłady Graficzne

ISBN 83-7129-154-X Nr 1155

Nagły kryzys po operacji, jaką Betty J. Eadie przechodziła w wieku trzydziestu jeden lat, sprawił, że znalazła się w staniu śmierci klinicznej. Doświadczenia, które wówczas stały się jej udziałem, uważane są za jedno z najpełniejszych i najbardziej wstrząsających wizji „życia po życiu”, z jakimi kiedykolwiek zetknęli się studujący to zjawisko badacze. Po odratowaniu Betty potrafiła przekazać i odtworzyć z niemal fotograficzną wiernością wszystko, co zobaczyła, co usłyszała i czego się nauczyła. Przeżyciami, które zmieniły jej widzenie świata i całe życie, pragnie się obecnie podzielić z innymi ludźmi przynosząc im w ten sposób nadzieję i pocieszenie.

Tę książkę dedykuję:

*Światłości, memu Panu i Zbawcy, Jezusowi Chrystusowi,
któremu zawdzięczam wszystko, co mam.
On jest moim oparciem, bez Niego bym upadła.*

*Swojemu wspaniałemu mężowi Joe,
który jest moją doczesną opoką.*

*Swoim ośmiorgu dzieciom — Donnie Marie, Cheryl Ann,
Glennowi Allenowi, Cynthii Carol, Josephowi Lee,
Stewartowi Jeffery'owi, Thomasowi Brittonowi i Betty Jean —
które wszystkie stanowią sens i urodę mego życia.*

*I na koniec — moim ośmiorgu wnukom:
Kurtowi Andrew, Jessice Elizabeth, Zachary'emu Brittonowi, Nathalie
Kathleen, Stephanie Leigh, Andrei Meggan, Jennifer Lean i Keonie
Marie. One wiośnie są perłami w mej koronie.*

Podziękowania.....	5
Przedmowa	6
Pierwsza noc	9
Późną nocą.....	12
Dzień drugi	14
Moja śmierć	16
W tunelu	18
W objęciach jasności	18
Prawa	22
Uzdrowianie i umieranie.....	24
Przy krosnach i w bibliotece.....	26
Ogród.....	28
Komitet powitalny	28
Inne światy.....	29
Wybór ciała.....	30
Pijany mężczyzna	32
Modlitwa.....	33
Rada starszych	34
Pożegnanie.....	37
Powrót.....	38
Wyzdrowienie.....	40
Mój wyjątkowy anioł	41

Podziękowania

Mojemu mężowi — z wyrazami najwyższej wdzięczności i miłości. Bez jego wiary we mnie i miłości książka ta nie mogłaby powstać. To on wykonał większość prac na komputerze, a jednocześnie, pełen cierpliwości, przerobił ze mną błyskawicznie kurs obsługi komputerowej. Po czym, odkładając na bok własne ambicje, wydrukował mój tekst. Jadł telewizyjne obiady i rzadziej zmieniał białe koszule, bym mogła więcej czasu spędzać przy klawiaturze. Kocham Cię, Najdroższy.

I dziękuję!

Słowa miłości i wdzięczności kieruję też do swej drogiej przyjaciółki, Nancy Carlisle, której serce przepełnione jest miłością nie tylko do Zbawiciela, ale i do wszystkich, których spotyka na swej drodze. To ona nauczyła mnie swobodniej wyrażać swoje uczucia. Okazała mi wiele poświęcenia jeżdżąc wraz ze mną na trwające wiele godzin spotkania, słuchając w nieskończoność relacji z moich przeżyć, zawsze niezmordowana i stale zachęcająca mnie do dalszych wysiłków. W 1987 roku Nancy pomogła mi zdobyć sponsorów dla tej książki. Pokładała we mnie niezachwianą wiarę, nawet wtedy, gdy zarzuciłam wcześniejsze próby, by zająć się swym chorym ojcem, który zmarł w lipcu 1991 roku. Jestem też wielce zobowiązana Jane Barfuss, która po trzech spotkaniach ze mną, podczas których opowiadałam jej o doświadczeniach z pogranicza śmierci, spisała je i wydała pod tytułem "Świat duchowy". Relacja ta obiegnęła niemal cały świat. Dzięki zapiskom Jane spotkałam wielu cudownych ludzi, którzy zachęcili mnie do napisania tej książki – z najdrobniejszymi szczegółami.

Przedmowa

Z lektury książki Betty J. Eadie *W objęciach jasności* dowiedziałem się więcej o przeżyciach z pogranicza życia i śmierci niż ze wszystkich swych życiowych doświadczeń, włącznie z dziesięcioletnim okresem studiów nad tego rodzaju zagadnieniami i wywiadami z dziećmi i dorosłymi, którzy przeżyli śmierć kliniczną. *W objęciach jasności* to nie tylko historia umierania Betty Eadie po operacji i jej powrotu do życia, to przede wszystkim podróż do jądra znaczenia naszego życia. Pamiętam młodego chłopca, który przeżywszy zatrzymanie akcji serca powiedział później do swoich rodziców:

„Zradzę wam cudowną tajemnicę — wchodziłem po schodach do nieba”. Chłopiec był za mały, by potrafił wyjaśnić znaczenie tych słów. W książce Betty J. Eadie zawarta jest ta sama cudowna tajemnica. Nie jest to tajemnica życia po śmierci, to tajemnica życia.

Przeżycie z pogranicza śmierci jest w gruncie rzeczy doświadczeniem umierania. Wszyscy tego doznamy— biedni czy bogaci, zbrodniarze czy święci. Myślałem przedtem, że gdy umrzemy, wstąpimy po prostu w ciemność i tak zakończymy życie. Podczas swej praktyki lekarskiej widziałem śmierć wielu dzieci i dorosłych i nigdy nie miałem powodu myśleć inaczej. Dopiero, kiedy mogłem zapytać tych, którzy przeszli śmierć kliniczną, czego wówczas doświadczali, dowiedziałem się, że sam akt umierania jest przeżyciem radosnym i duchowym. To nie ciemność oczekuje nas u kresu życia, ale światło pełne miłości — światło, które, jak powiedziało pewne dziecko — „ma w sobie dużo dobrych rzeczy”.

Przeżycia z pogranicza życia i śmierci nie są spowodowane niedotlenieniem mózgu ani narkotykami, ani psychicznym stresem wywołanym przez strach przed śmiercią. Prawie dwudziestoletnie badania naukowe wykazały, że doznania te są naturalnym i normalnym procesem. Określono nawet, w których partiach mózgu zachodzą. Znaczy to, że są z całą pewnością rzeczywiste, że nie wywołują ich halucynacje umysłu. Są tak rzeczywiste jak każda inna zdolność człowieka, tak rzeczywiste jak matematyka albo język.

Upłynęło osiem lat od czasu, kiedy moja grupa badawcza z Uniwersytetu w Waszyngtonie i Szpitala Dziecięcego w Seattle opublikowała tę informację w zeszytach Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy Pediatri. Ale, mimo że badania te zostały powtórzone przez naukowców z całego świata, łącznie z naukowcami Uniwersytetu Florydy, Szpitala Dziecięcego w Bostonie i Uniwersytetu w Utrechcie w Holandii, nie znalazły szerokiego zrozumienia. Nasze społeczeństwo nie przyjęło jeszcze do wiadomości rozszerzenia naukowej wiedzy dotyczącej procesu umierania. A powinniśmy pamiętać, że jesteśmy zarówno istotami biologicznymi, jak i duchowymi. Liczne problemy społeczne, takie jak kryzys opieki lekarskiej, odebranie godności aktowi umierania, kult zachłanności, który zrujnował naszą ekonomię, narodowa hańba, jaką są bezdomne kobiety i dzieci — wszystko to wypływa z braku rozumienia, że jesteśmy istotami duchowymi, które wzajemnie od siebie zależą.

Książka *W objęciach jasności* uczy nas, że życie każdej jednostki jest ważne i znaczące. Za każdym razem szkodzi mi to, że ci, którzy weszli w jasność Boga podczas śmierci klinicznej, powracają z prostym i pięknym przesłaniem:

„Miłość jest dobrem najwyższym... Musi zapanować miłość... Swoimi własnymi myślami stwarzamy otoczenie wokół siebie... Jesteśmy na ziemi po to, byśmy żyli pełnią życia, odnaleźli radość w swojej twórczości, doświadczyli zarówno wzlotów, jak i upadków, i korzystali ze swojej wolnej woli, by uczynić nasze życie pełniejszym i znaczącym”. Powróciwszy do życia, Betty nie wygłasza wzniosłych apeli o ustanowienie nowego kościoła czy wynalezienie cudownych leków na choroby — głosi jedynie proste przesłanie miłości. Znaczenie jej przeżyć z pogranicza

śmierci jest jedno: „Powinniśmy się kochać. Powinniśmy być dobrzy, tolerancyjni i z oddaniem wzajemnie sobie służyć”.

Ta książka jest w istocie podręcznikiem opisującym przeżycia z pogranicza śmierci, napisanym w formie prostej opowieści, zrozumiałej dla każdego. Ja sam nigdy nie doznałem podobnych przeżyć, odnosiłem się, więc sceptycznie do tego, co mi opowiadano. Dla sceptyka, który jednak pragnie zrozumieć, najtrudniejsze jest wyobrazenie sobie, jak to jest — znaleźć się poza swoim fizycznym ciałem. Książka Betty Eadie, ukazując poszczególne etapy tego doświadczenia, wypełnia tę lukę, sprawia, że nieznane staje się zrozumiałe.

Kiedy Betty Eadie zaczęła umierać, miała wrażenie, że jej ciało staje się coraz słabsze. Jednocześnie poczuła nagły przypływ energii wewnętrznej. „Było to tak, jakby coś we mnie w środku pękło czy wyzwoliło się. Poczulałam się wolna, to było moje pierwsze wrażenie. W tym doznaniu nie było nic nienaturalnego”. Potem spotkała opiekuńcze dusze, które pomogły jej zrozumieć znaczenie i istotę ziemskiego życia. Gdy następowała śmierć, weszła w ciemność i znalazła się w długim tunelu. „Pomyślałam, że to właśnie musi być przejście do innego świata — opowiada. — Nigdy w życiu nie czułam się tak spokojna”.

Betty znalazła odpowiedź na pytania, jakie ludzie od lat zadawali mi na temat przeżyć z pogranicza śmierci — pytania, na które nigdy nie umiałem odpowiedzieć. Po tamtej stronie obejrzała całe swoje życie, lecz nie była osądzana przez innych — jedynie przez samą siebie. Zrozumiała znaczenie i przyczyny niektórych negatywnych doświadczeń z pogranicza śmierci i dlatego te przeżycia tak bardzo nas niepokoją. Dowiedziała się, dlaczego życie często bywa ciężkie i dlaczego zło dotyka także dobrych ludzi. Uświadomiła sobie, dlaczego ci, którzy umarli, niechętnie wracają do swoich ciał. „Krepujący ciężar ciała i jego zimno były okropne — pisze. — Po tym, jak poznałam duchową wolność, stałam się znowu więźniem ciała”.

Betty doświadczyła przeżyć z pogranicza śmierci nie tylko jako osoba dorosła, została przygotowana do tego już w dzieciństwie. Dzieci przeżywają to w sposób prosty i czysty, nie skażony religijnymi czy kulturowymi oczekiwaniami. Nie starają się, co często zdarza się dorosłym, tłumić tych przeżyć i bez trudu przyjmują duchowe następstwa wynikające z ujżenia Boga. Nigdy nie zapomnę pięcioletniej dziewczynki, która wyznała mi nieśmiało: „Rozmawiałam z Jezusem. Był bardzo miły. Powiedział, że jeszcze nie pora, żebym umierała”. Dzieci lepiej niż dorośli zapamiętują przeżycia z pogranicza śmierci i wydaje się, że w wyniku tych doświadczeń łatwiej im jest potem zrozumieć swą własną duchowość. Jeśli w wieku dojrzałym doświadczą tego po raz wtóry, są to zazwyczaj przeżycia wyjątkowo silne i pełne.

Znaczenie doświadczeń z pogranicza śmierci polega przede wszystkim na tym, że pomagają nam zrozumieć sens naszego ziemskiego bytowania. Niewiele ponad sto lat temu uznaliśmy, że człowiek nie ma duszy, a zatem i życie po śmierci nie istnieje. Wywołuje to w nas nienaturalny strach przed śmiercią i nie pozwala cieszyć się życiem. Betty Eadie pisze, że świadomość tego, iż umieranie jest procesem duchowym, powinna wzbudzić w nas pragnienie doskonalszego, pełniejszego życia. „Teraz wiedziałam, że Bóg naprawdę istnieje — powiada. — Już nie wierzyłam tylko w jakąś siłę wyższą... Ujrzałam kochającą istotę, która stworzyła wszechświat...”

Pewna mała dziewczynka powiedziała mi, że kiedy umarła, zobaczyła swoje nowe życie. Przyznała, że chociaż w szkółce niedzielnej słyszała o niebie, nie bardzo w nie wierzyła. Ale kiedy umarła i potem powróciła do życia, stwierdziła:

„Już się nie boję śmierci, ponieważ teraz wiem na ten temat trochę więcej”. Nie oznaczało to wcale, że chciała znów umrzeć, przekonała się bowiem, że „życie jest po to, żeby żyć, a jasność jest na później”. Gdy zapytałam ją, w jaki sposób ją to doświadczenie zmieniło, namyślała się przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała: „To fajnie być miłą”.

W objęciach jasności uczy nas tego samego: „Jeśli będziemy dobrzy, będziemy się radowali”. Kiedy Betty zapytała Jezusa: „Dlaczego przedtem tego nie wiedziałam?” — odpowiedział jej: „Musisz najpierw poznać smutek, zanim będziesz mogła poczuć radość”. To proste stwierdzenie

zmieniło moje rozumienie życia. Uświadomiłem sobie, że muszę przyjąć na nowo proste prawdy, które znałem zawsze, lecz lekceważyłem.

Jako amerykańska Indianka Betty w dzieciństwie przebywała w internacie. Przed wejściem do szkoły widniał wielki napis, który głosił: „Jeśli ludzie nie mają przed sobą wizji, zginą”. Nasze społeczeństwo zatraciło zdolność rozumienia duchowego aspektu życia. Uczyniliśmy z umierania ponury obrządek: pacjenci ukryci w szpitalach konają w zimnym towarzystwie maszyn, zamiast w otoczeniu krewnych i przyjaciół. Zapomnieliśmy, jak godnie umierać, gdyż nie jest to już część naszego zwykłego życia. Zapomnieliśmy też jednocześnie, jak żyć. Znany mitolog, Joseph Campbell, powiedział kiedyś, że wiele naszych współczesnych problemów, od narkotyków do przemocy na ulicach miast, bierze się właśnie z powszechnego braku duchowej wizji. Zapomnieliśmy, jak ważne pod względem duchowym jest nasze zwyczajne życie.

W książce *W objęciach jasności* zawarta jest wielka tajemnica. To coś, co prorocy i przywódcy duchowi usiłują przekazać nam od tysięcy lat. Ma to taką moc, że może odmienić całe wasze życie.

Dr med. MELVIN MORSE

Pierwsza noc

Coś było nie tak. Minęło zaledwie kilka minut, od kiedy Joe, mój mąż, wyszedł ze szpitala, a już ogarnęły mnie złe przecucia. Miałam spędzić sama całą noc — noc poprzedzającą jedno z najbardziej przerażających doświadczeń w moim życiu. Niepostrzeżenie opadły mnie myśli o śmierci. Od lat nie przychodziły mi do głowy, dlaczego więc teraz stały się tak natrętne?

Był wieczór 18 listopada 1973 roku. Znalazłam się w szpitalu, by poddać się amputacji macicy. Jako trzydziestojednoletnia matka siedmiorga dzieci, ciesząca się poza tym doskonałym zdrowiem, zdecydowałam się na tę operację za radą doktora. Decyzja ta nie napawała niepokojem ani mnie, ani mojego męża, Joe. Nadal zresztą nie wzbudzała moich obaw, ale zaczęło mnie dręczyć coś innego, coś, co trudno określić.

W ciągu lat trwania naszego małżeństwa rzadko spędzaliśmy noce osobno. Zaczęłam się zastanawiać nad swoją rodziną i szczególną bliskością, jaka była naszym udziałem. Chociaż w domu było sześcioro dzieci (jedno zmarło w wieku niemowlęcym), niechętnie zostawialiśmy je same. Nawet swoje „wieczne randki” woleliśmy spędzać w domu — pozwalaliśmy wtedy dzieciom urządzać je dla nas. Czasami przygotowywały nam kolację ze świeczkami w salonie i ogniem trzaskającym na kominku. Zwykle była też odpowiednia muzyka, może niekoniecznie taka, jaką sami byśmy wybrali, niemniej doskonała. Przypomniam sobie wieczór, kiedy dzieci na udekorowanym stoliku do kawy podały nam chińskie potrawy i przyniosły poduchy do siedzenia. Zrobiły przyćmione światło, pocałowały nas na dobranoc i chichocząc pobiegły schodami na górę. Wyglądało na to, że Joe i ja znaleźliśmy niebo na ziemi.

Rozmyślałam nad tym, jakie to dla mnie szczęście mieć tak kochającego i lojalnego towarzysza życia jak Joe. Wziął w pracy urlop, żeby być ze mną przed moim pójściem do szpitala, i zamierzał spędzić w domu następny tydzień podczas mojej rekonwalescencji. Planował już z dwiema naszymi najstarszymi córkami wspańiały obiad na Święto Dziękczynienia.

Moje złe przecucia pogłębiły się. Może z powodu ciemności w pokoju, ciemności, która przerażała mnie od dzieciństwa. A może te zatrważające odczucia wzięły się z innego przeżycia. Przeżycia, jakiego doznałam przed laty w szpitalu i które pozostało dla mnie nieodgadnione.

Kiedy miałam cztery lata, moi rodzice się rozeszli. Ojciec zwykł mawiać, że „w tamtych czasach poślubienie Indianki było prawdopodobnie najgorszą rzeczą, jaką mógł uczynić biały mężczyzna”. Był jasnowłosym pół Szkotem, pół Irlandczykiem, a ona czystej krwi Indianką z plemienia Siuksów. Jako siódma z dziesięciorga rodzeństwa nie zapamiętałam zbyt dobrze swoich rodziców, zanim się rozeszli. Moja matka powróciła do rezerwatu, a ojciec zamieszkał z powrotem w mieście, u swoich rodziców. Sześcioro z nas zostało wtedy umieszczonych w katolickim domu dziecka. To była pierwsza moja zima w domu dziecka. Którejś nocy zaczęłam strasznie kaszleć i dostałam dreszczy. W wielkiej sali spało czterdzieści dziewczynek i pamiętam, że wtedy nie poszłam spać do swojego łóżka, lecz położyłam się razem ze swoją siostrą Joyce. Leżałyśmy obok siebie i płakałyśmy — ja z gorączki, a ona ze strachu o mnie. Kiedy jedna z sióstr zakonnych przysłała na nocny obchód, odkryła mnie u Joyce i kazała wracać do swojego łóżka, które było zimne i wilgotne od potu. Joyce usiłowała przekonać zakonnice, że jestem chora, ale bezskutecznie. W końcu trzeciej nocy zabrano mnie do szpitala. Doktor rozpoznał u mnie koklusz oraz obustronne zapalenie płuc i polecił siostrze zawiadomić moich rodziców. Pamiętam, jak mówił do niej, że nie spodziewa się, bym przeżyła tę noc. Kiedy rozpalona gorączką leżałam w łóżku, wydawało mi się, że na przemian zapadam w sen i budzę się. W pewnej chwili poczułam czyjeś dłonie na swojej głowie. Gdy spojrzałam w górę, zobaczyłam pochylającą się nade mną pielęgniarkę. Przeszła mi włosy palcami i powiedziała: „To jeszcze takie dziecko”. Nigdy nie zapomnę czułości, jaka zabrzmiała w tych słowach. Wsunęłam się głębiej pod kołdrę, poczułam ciepło i zadowolenie. Słowa pielęgniarki przyniosły mi ukojenie, zamknęłam oczy i zapadłam w sen.

Zbudził mnie głos doktora: „Już jest za późno. Utraciliśmy ją” — powiedział, po czym naciągnął mi prześcieradło na głowę. Nie bardzo to rozumiałam. Dlaczego za późno? Obróciłam głowę. Mimo że prześcieradło przykrywało mi twarz, zobaczyłam lekarza i pielęgniarkę stojących

przy łóżku. Rozejrzałam się po pokoju i spostrzegłam, że wypełnia go jaśniejsze światło niż przedtem. Łóżko wydawało mi się ogromne i pamiętam, że pomyślałam wtedy: Jestem jak mały brunatny robaczek w tym dużym białym łóżku. Potem lekarz odszedł, a ja zdałam sobie sprawę z czyjejś obecności w pobliżu. Nagle już nie leżałam w łóżku, tylko znajdowałam się w czyichś ramionach. Spojrzałam w górę i zobaczyłam spoglądającego na mnie mężczyznę z piękną białą brodą. Zafascynowała mnie ta jego broda. Zdawała się promieniować jasnym światłem wydobywającym się z jej wnętrza. Roześmiałam się i zanurzyłam w niej ręce, zaczęłam ją sobie owijać wokół palców. Czułam się uspokojona i szczęśliwa. Brodaty mężczyzna kołysał mnie delikatnie, tuląc w ramionach, i chociaż nie wiedziałam, kim był, nie chciałam się z nim już rozstawać.

— Zaczęła znów oddychać! — zawołała pielęgniarka i doktor przybiegł z powrotem do pokoju. Ale był to już inny pokój, zostałam przeniesiona do mniejszego i bardzo ciemnego. Mężczyzna z białą brodą zniknął. Byłam mokra od gorączki i przerażona. Doktor zapalił światło i polecił zabrać mnie z powrotem do poprzedniego pokoju.

Kiedy przybyli moi rodzice, powiedziano im, że niemal mnie utracili. Słyszałam ich słowa, lecz nadal nic nie pojmowałam. Jak mogli mnie utracić, skoro byłam tu przez cały czas? Ale dobrze było znów być razem z ludźmi, którzy mnie naprawdę znali i kochali — tak, jak tamten mężczyzna z białą brodą. Zapytałam rodziców, kim był i dokąd poszedł, nie zrozumieli jednak, o czym mówię. Opowiedziałam im wszystko: jak doktor mówił, że jest za późno, i jak przyszedł i tulił mnie człowiek ze świecą jasno brodą — ale oni nadal niczego nie rozumieli. Ani wtedy, ani nigdy potem. To miało być tylko moje przeżycie, którego strzegłam przez całą swoją młodość. Wspomnienie brodatego mężczyzny nigdy się nie zatarło i za każdym razem, kiedy je sobie przypominałam, wracało do mnie poczucie spokoju i szczęścia, jakiego zaznałam w jego ramionach.

Próbowałam przywołać te wspomnienia teraz, gdy ciemność zaczęła wypełniać mój pokój. Od pierwszych dni, kiedy zostałam bez rodziców, ciemność napawała mnie przerażeniem. Teraz, gdy byłam znów sama w ciemności, pokój sprawiał dziwne wrażenie. Wszędzie wokół mnie zdawała się unosić śmierć. Owładnęła całkowicie moimi myślami. Śmierć i Bóg. Jedno i drugie zdawało się nierozzerwalnie związane ze sobą. Co mnie czekało po tamtej stronie? Gdybym miała nazajutrz umrzeć, co by mnie spotkało? Wiekuista nicość czy wieczne życie z żadnym zemsty Bogiem? Nie wiedziałam. Jaki jest Bóg? Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie taki, jakim jawił mi się w dzieciństwie spędzonym w domu dziecka.

Wciąż pamiętam ze szczegółami, jak wyglądał budynek mojej pierwszej szkoły, z wielkim ceglany murem i ciemnymi zimnymi salami. Sypialnia chłopców odgradzona była łańcuchem od sypialni dziewcząt. Byliśmy odcięci od świata i odseparowani od siebie nawzajem. Pamiętam jeszcze pierwszy dzień, kiedy moich braci wprowadzono do jednego budynku, a mnie i moje siostry do drugiego. Nigdy nie zapomnę przestachu w ich oczach, kiedy oglądali się na nas po raz ostatni. Myślałam, że mi serce pęknie.

Ja i moje dwie siostry zostałyśmy zabrane do małego pomieszczenia, gdzie zakonnice odswawiały nas i obcięły nam włosy. Każda z nas dostała po dwie sukienki, jeden kolor na jeden tydzień, a drugi na następny. Owe mundurki miały być pomocne w identyfikowaniu uciekinierek. Najstarszą naszą siostrę, Thelmę, którą nazywałyśmy Sis, oddzielono od nas i skierowano do sali dla starszych dziewcząt. Pierwszego wieczoru ja i Joyce zostałyśmy ustawione w szeregu z innymi dziewczynkami i pomaszzerowałyśmy do pokoju, gdzie miałyśmy stać przy swoich łóżkach, czekając na sygnał gwizdka. Wtedy wskakiwałyśmy prosto do łóżek, gaszono światło, a drzwi zamykano od zewnątrz. Przebywanie w wielkiej, zamkniętej, ciemnej sali napawało mnie przerażeniem. W ciemności skulona ze strachu czekałam, aż litościwie ogarnie mnie sen.

W niedzielę wszystkie dzieci szły do kościoła, co mnie i moim siostrom dawało możliwość zobaczenia braci po drugiej stronie kaplicy. Pierwszej niedzieli, kiedy przepychałam się przez tłum

dziewcząt, aby rzucić okiem na swoich braci, poczułam uderzenie w głowę. Obejrzałam się i zobaczyłam długą tyczkę zakończoną gumową gałką. Siostry zakonne posługiwały się tym przyrządem, by korygować nasze zachowanie, i był to tylko jeden z wielu razy, kiedy poczułam go na sobie. Ponieważ trudno mi było zrozumieć, co oznacza dzwonienie i kiedy powinnam klękać, często byłam szturchana ową tyczką. Mogłam jednak widywać swoich braci, a to było warte każdej kary.

Nauczano nas o Bogu i dowiedziałam się wtedy wielu rzeczy, które nigdy przedtem nawet nie przychodziły mi do głowy. Mówiono nam, że my, Indianie, jesteśmy poganami i grzesznikami, a ja oczywiście w to uwierzyłam. Siostry zakonne miały być kimś wyjątkowym w oczach Boga i znajdowały się tu po to, by nam pomagać. Thelma, moja siostra, często była przez nie bita gumową pałką, za co musiała jeszcze dziękować, w przeciwnym razie była bita dalej. Wierzyłam, że są to wybrane służebnice Boga, i z ich powodu zaczęłam się Go bać. Wszystko, czegokolwiek dowiedziałyśmy się o Nim, tylko wzmagало ten strach. Bóg wydawał mi się zły, porywczy i bardzo potężny, co oznaczało, że może mnie zniszczyć albo posłać wprost do piekła w dniu Sądu Ostatecznego — a nawet wcześniej, jeśli mu się sprzeciwię. Miałam nadzieję nigdy nie spotkać tego Boga z domu dziecka.

Spojrzałam na duży zegar na ścianie. Upłynęły zaledwie minuty, od kiedy Joe wyszedł. Zaledwie minuty. Z małej lampki znad umywalki sączyło się tylko tyle światła, ile wystarczało na rzucanie głębokich cieni — cieni, które wypełzły z mojej wyobraźni, jak koszmary nocne z przeszłości. Moje myśli, popędzane przez samotność, cwałowały przez ciemne korytarze mej pamięci. Powinnam nad tym zapanować, aby odzyskać spokój, pomyślałam. W przeciwnym razie ta noc będzie się wlokła w nieskończoność. Zebrałam się w sobie i spróbowałam zwrócić myśli ku szczęśliwym momentom z przeszłości.

Szkoła dla Indian w Brainard była prowadzona przez metodystów. Nigdy nie zapomnę pierwszego dnia, kiedy przeczytałam wielki napis umieszczony przed szkołą: „Jeśli ludzie nie mają przed sobą wizji, zginą”. Oczywiście myślałam, że napis odnosi się do Indian i że celem szkoły jest nauka osiągnięcia wizji. Takie rozumienie podsunęły mi prawdopodobnie również inne napisy, jakie widziałam w mieście, na przykład: „Indianom i psom wstęp wzbroniony”.

Doświadczenia wyniesione ze szkoły w Brainard okazały się znacznie lepsze od moich wcześniejszych doświadczeń. Atmosfera tam panująca była przyjemniejsza i mniej sztywna, wydawało się też, że nauczyciele naprawdę lubią pracę z nami. Dowiedziałam się, że dla różnych ludzi Bóg może oznaczać co innego. Uczono mnie już nie o Bogu surowym i groźnym, jakiego poznałam wcześniej, ale o dobrotliwym Bogu, który cieszył się, kiedy byliśmy szczęśliwi. W naszych książeczkach do nabożeństwa pełno było zwrotów w rodzaju „amen” i „alleluja”, i trzeba mi było trochę czasu, by przyzwyczaić się do tych nieoczekiwanych uniesień. Chociaż dowiedziałam się, że można postrzegać Boga i czcić Go na wiele sposobów, nadal tkwiłam w przekonaniu, że jest to Bóg, który mnie ukarze, kiedy umrę i stanę przed Nim.

Latem uczęszczałam zarówno do kościoła baptystów, jak i luterańskiego oraz — od czasu do czasu — do kościoła Armii Zbawienia. Sam fakt, że chodziła do kościoła, był wówczas ważniejszy niż to, do jakiego wyznania należał. Moja ciekawość Boga rosła w miarę jak dojrzewałam, ponieważ wiedziałam, że odgrywa On ważną rolę w moim życiu. Nie byłam tylko pewna, jaka to rola i w jaki sposób na mnie wpłynie, kiedy będę dorosła. Zapytywałam o to zwracając się do Niego w swych modlitwach, ale nie miałam wrażenia, że mnie słucha. Moje słowa wydawały się po prostu rozpląwać w powietrzu. Gdy miałam jedenaście lat, zebrałam się na odwagę i zapytałam przełożoną szkoły, czy naprawdę wierzy, że Bóg istnieje. Sądziłam, że jeśli ktokolwiek naprawdę to wie, tym kimś musi być właśnie ona. Ale przełożona zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, uderzyła mnie wołając, jak śmiem podawać w wątpliwość Jego istnienie. Kazała mi paść na kolana i błagać o przebaczenie, co też uczyniłam. Teraz wiedziałam, że skazana jestem na piekło za swój brak wiary — ponieważ kwestionowałam istnienie Boga. Byłam pewna, że nie ma dla mnie wybaczenia.

Kiedy później tego lata wróciłam do domu mego ojca, przeżyłam coś przerażającego. Któregoś wieczoru po położeniu się spać odsłoniłam zasłony okna przy moim łóżku i leżałam tak, wpatrując

się w gwiazdy i przepływające chmury. Lubiłam to robić, od kiedy byłam mała. Nagle spostrzegłam promień białego światła, wydobywającego się z chmury i sięgającego ziemi. Zmartwiałam ze strachu. Promień przesunął się to w jedną, to w drugą stronę, jakby czegoś szukając — może nas? Pomyślałam, że to musi być drugie nadejście Chrystusa, i zaczęłam krzyczeć co sił w płucach. Uczono mnie, że przyjdzie po kryjomu jak złodziej, zabierze ze sobą sprawiedliwych, a grzesznym pozwole szczeznąć. Minęło wiele godzin, zanim ojciec zdołał mnie uspokoić i przekonać, że to, co widziałam, było tylko światłem szperacza zapowiadającego początek karnawału w mieście. Był to pierwszy szperacz, jaki zobaczyłam w swym życiu. Zaciągnęłam zasłony i przez jakiś czas w ogóle nie patrzyłam w gwiazdy.

Nadal poszukiwałam prawdziwej istoty Boga. Chodziłam do kościołów różnych wyznań i słuchałam wielu interpretacji Nowego Testamentu. Zaczęłam wierzyć, że kiedy człowiek umiera, jego dusza pozostaje w grobie wraz z ciałem aż do dnia zmartwychwstania, kiedy to Chrystus zejdzie na ziemię i weźmie ze sobą sprawiedliwych, którzy wstaną z grobów. Często o tym myślałam, nadal bojąc się własnej śmierci i ciemności, jaka po niej nastąpi.

Późną nocą

Teraz zasłony w pokoju szpitalnym były zaciągnięte. Czy to ja je zaciągnęłam? Znowu spojrzałam na zegar i uniosłam się, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie został wyłączony. Czas zdawał się stać w miejscu. Musiałam z kimś porozmawiać. Może z pielęgniarką? Albo — może zadzwonić do domu? Wychyliłam się z łóżka i sięgnęłam po telefon. Chwilę później odezwała się Donna, nasza piętnastoletnia córka. Natychmiast zapytała, czy dobrze się czuję. To było wspaniałe, słyszeć troskę w jej głosie. Odparłam, że ze mną wszystko w porządku, tylko czuję się trochę osamotniona. „Taty nie ma jeszcze w domu”, oznajmiła Donna, a we mnie serce zamarło. Rozpaczliwie chciałam z nim porozmawiać. „Mamo, czy wszystko w porządku?” — spytała ponownie, a ja odrzekłam: „Tak, mam się dobrze”. Ale w rzeczywistości chciałam powiedzieć: „Przyślij tu do mnie Tatusia, proszę! Przyślij tak szybko, jak tylko możesz!” Narastał we mnie lęk.

W słuchawce usłyszałam dziecięce głosiki: „Ja chcę rozmawiać z Mamą” — „Hej, puść mnie do telefonu!” — „To ja powiem Tacie!” Odgłosy domu sprawiły, że poczułam się lepiej. Następne pół godziny spędziłam na mówieniu „dobranoc” każdemu dziecku z osobna. Ale kiedy odłożyłam słuchawkę, samotność znowu opadła mnie jak całun. Pokój wydał się jeszcze ciemniejszy, a dom oddalony od szpitala nie o kilkanaście przecznic, lecz tysiące kilometrów.

Moja rodzina to było moje życie, rozłąka z nią napełniała mnie trwogą, sprawiała mi ból. Ale gdy znowu pomyślałam o każdym dziecku po kolei i oczywiście o swoim mężu Joe, poczułam się lepiej i w tym momencie nigdy bym nie uwierzyła, że kilka godzin później będzie mi wszystko jedno, czy kiedykolwiek do nich wrócę — lub nawet, co było bliższe prawdy, że będę błagała, aby do nich nie wracać.

Zawsze uważałam, że mąż i dzieci zastąpią mi rodzinę, której brakowało mi w dzieciństwie. Postanowiłam, że kiedy założę własną rodzinę, będzie ona dla mnie najważniejsza i stanie się moją ostoją. Ślubowałam sobie, że będę kochała swojego męża i pozostanę z nim na dobre i złe, a nasze dzieci będą zawsze mogły liczyć na to, że zostaniemy razem.

Kiedy zaczęłam piętnasty rok życia, odesłano mnie do matki. Ojciec uznał, że dorastająca panienka powinna mieszkać ze swoją matką — nie z nim ani w internacie. Matka również uznała, że potrzebna jest jej opiekunka do najmłodszego dziecka, bo pracuje w pełnym wymiarze czasu. Tak więc zostałam zabrana z szkoły, żeby siedzieć w domu matki i zajmować się siostrzyczką. Zaczęłam się uzalać sama nad sobą, kiedy codziennie patrzyłam, jak inne dzieci z sąsiedztwa idą rano do szkoły, a po południu wracają do domów. Nie zdawałam sobie w pełni sprawy ze znaczenia, jakie będzie miało wykształcenie, kiedy stanę się starsza, ale czułam, że brakuje mi towarzystwa rówieśników i reszty rodzeństwa. Wkrótce doszłam do wniosku, że jedynym dla mnie wyjściem jest małżeństwo i założenie własnej rodziny. Zorientowałam się, że moje życie cały czas było podporządkowane potrzebom innych i że nie przyznawano mi prawa do jakiegokolwiek osobistego szczęścia. Chciałam mieć swoje własne ubranie, własne łóżko i swój własny dom. Chciałam mieć męża, któremu mogłabym ufać i który by mnie kochał bez względu na to, co się

wydarzy w naszym życiu.

Nic więc dziwnego, że zakochałam się bez pamięci w chłopcu, który mieszkał obok, i poślubiłam go już najbliższej wiosny. Mój ojciec był zdecydowanie temu przeciwny, ale mieszkałam przecież z matką, a ona nas popierała. Miałam piętnaście lat i bardzo mgliste wyobrażenie o tym, jakie zadania staną przede mną z chwilą założenia prawdziwej rodziny. Nasza niedojrzałość oraz fakt, że oboje mieliśmy zupełnie różne cele w życiu, położyły kres naszemu małżeństwu sześć lat później. Moje marzenia legły w gruzach, a rozdarta dusza mogła być uleczona tylko czyjąś wielką cierpliwością i miłością. Mimo to nigdy nie żałowałam, że wyszłam wtedy za mąż, chociażby dlatego, że małżeństwo to dało mi czwórkę pięknych dzieci. Pierwsze były dwie córki, Donna i Cheryl, potem miałam syna Glenna. Najmłodsze dziecko, Cynthia, umarła w wieku trzech miesięcy.

Podczas pierwszych świąt Bożego Narodzenia poznałam na tańcach Joe. Stacjonował w Bazie Sił Powietrznych Stead koło Reno w stanie Nevada, gdzie wówczas mieszkałam. Joe również miał za sobą rozwód i kiedy go lepiej poznałam, spostrzegłam, że mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego. Miał podobne do moich przeżycia i taką samą silną potrzebę posiadania trwałej rodziny. Wyglądało na to, że jakoś pasujemy do siebie. Również moje dzieci chciały, nawet może bardziej niż ja na początku, żeby Joe był razem z nami — pobraliśmy się więc wkrótce.

Wszystko wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Joe miał w sobie łagodność, jakiej nigdy przedtem nie zaznałam. Dzieciom okazywał niesłychaną cierpliwość, ale i pewną stanowczość, a one odwzajemniały mu się miłością. Na wyścigi biegły do drzwi, by w pierwszej kolejności się z nim przywitać, gdy wieczorem wracał z pracy. Stał się ich „Tatusiem” od samego początku i pod każdym względem.

Chcieliśmy zostać ze sobą razem, i to — w połączeniu z osiąganą przez nas coraz większą dojrzałością — było spoiwem, które trzymało nas razem przez te lata. Kiedy zmienialiśmy miejsce zamieszkania i przystosowywaliśmy się do nowych warunków życia, wszystkie zmiany podporządkowaliśmy nadrzędnemu celowi, jakim było utrzymanie rodziny w całości, bez względu na ponoszone koszty. Nasze pragnienia w pierwszym rzędzie dotyczyły rodziny, a dopiero potem nas samych.

W lipcu 1963 roku Joe został przeniesiony do bazy Sił Lotniczych Randolph w San Antonio w stanie Teksas. Era komputerów właśnie się zaczynała i mojego męża skierowano na kurs programowania komputerowego. W ciągu czterech lat naszego pobytu w Teksasie urodziłam dwóch chłopców, Josepha Jr. i Stewarta Jeffery'ego.

Nasze marzenia ziściły się. Mieliśmy samochód i nowy dom, wyposażony w klimatyzację. Dzieci miały mnóstwo ubrań, a ja mogłam pozostać w domu i troszczyć się o wszystkich. Czułam się wybranką losu. Poczucie bezpieczeństwa i szczęścia, jakiego doznawałam, sprawiało, że dom dziecka, samotność mego dzieciństwa i nieudane pierwsze małżeństwo zdawały się oddalone ode mnie o całą wieczność. Mimo to czułam, że czegoś mi brakuje.

Nadal modliłam się, ale mój stosunek do Boga był raczej odległy i wciąż nacechowany bojaźnią. Wiedziałam, że od czasu do czasu wysłuchuje moich modlitw — na przykład, kiedy się rozwiodłam i modliłam się o kogoś kochającego i cierpliwego, kto by pomógł mi wychować dzieci, zesłał mi Joe. Wierzyłam, że Bóg naprawdę istnieje i kocha nas — mimo przypisywanej mu surowości — ale nie wiedziałam, jak odwzajemnić tę miłość i jak nauczyć jej nasze dzieci. Omawiałam ten problem z Joe i proponowałam, żebyśmy zaczęli chodzić do kościoła, lecz nie wzbudziło to w nim entuzjazmu; przede wszystkim dlatego, że wcześniejsze doświadczenia rozczarowały go do religii. Uszanowałam to stanowisko, ale nadal szukałam sposobu, by wnieść więcej wiary w nasze życie rodzinne. Chodziliśmy do kilku tamtejszych kościołów, nie byliśmy jednak tym usatysfakcjonowani, po jakimś czasie więc pozostawiliśmy sprawy własnemu biegowi. Moja wiara przez wiele lat była niepewna.

Wejście pielęgniarki do pokoju przerwało tok moich myśli. Przyniosła ze sobą pojemniczek z pigułkami nasennymi, lecz odmówiłam ich wzięcia — czułam nieprzewycięzoną awersję do niemal wszystkich rodzajów lekarstw. Nawet aspirynę zażywałam rzadko, woląc przecierpieć ból głowy czy chorobę. Pielęgniarka wyszła, zostawiając mnie na powrót z moimi myślami. Czując się

nieskończenie samotna tej nocy, zwróciłam myśl ku czekającej mnie za kilka godzin operacji. Czy wszystko pójdzie dobrze? Nieraz słyszałam o ludziach umierających na stole operacyjnym. Czy będę jedną z nich? W mojej wyobraźni zarysowały się obrazy grobów. Przed oczami miałam wizję zmarłych, którym przed włożeniem do trumny nakładano na szyję łańcuszki z krzyżykami. Zaczęłam rozmyślać nad ostatnią posługą i zastanawiać się, dlaczego umarłym zakłada się krzyże. Czy po to, by ukazać Bogu, że to święci? A może byli to grzesznicy, których od mocy piekielnych miał chronić krzyż? Moje przygnębienie pogłębiało się coraz bardziej, ciemność w dalszym ciągu mnie przytłaczała, sięgnęłam więc do dzwonka, by przywołać pielęgniarkę.— Czy ma pani pod ręką jeszcze te pigułki? — zapytałam, gdy weszła. Obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem, ale przyniosła tabletki. Wzięłam je i podziękowałam. Zgasiła światło zamykając za sobą drzwi. Po chwili poczułam się senna, więc zmówiłam pacierz i zasnęłam.

Dzień drugi

Wstał pogodny ranek, słońce przedzierało się przez szpary w zasłonach. Operacja była wyznaczona na dwunastą w południe. Mogłam rozbudzić się i czekać przez następne godziny albo pozwolić sobie na luksus snu. Byłam jeszcze otumaniona od środków nasennych lub może wyczerpana niepokojami poprzedniej nocy. Teraz, kiedy poranne światło rozjaśniło pokój, odprężyłam się i zaczęłam wspominać swój ostatni pobyt w szpitalu. Obawy poprzedniej nocy były niczym w porównaniu z moimi ówczesnymi lękami. Przynajmniej tym razem wiedziałam, co może się zdarzyć.

Kiedy mój mąż przeszedł na emeryturę w 1967 roku, zaczęliśmy się zastanawiać nad różnymi możliwościami pracy w cywilu, jakie przed nim stały. Kurs programowania komputerowego, jaki Joe odbył w Randolph, dawał mu szansę rozpoczęcia nowej kariery praktycznie wszędzie. Musieliśmy się tylko zdecydować, w jakiej części kraju chcemy zamieszkać. Ostatecznie wybraliśmy północno-zachodnie wybrzeże Pacyfiku, gdzie Joe przyjął posadę w dużej firmie lotniczej. Uznaliśmy, że dobrze nam zrobi zmiana suchego i gorącego klimatu, do jakiego przyzwyczajeni byliśmy w Teksasie. Poza tym moglibyśmy osiąść w pobliżu mego ojca i jego żony, którzy przenieśli się na północny zachód.

Wkrótce po przeprowadzce zaszłam po raz siódmy w ciążę. Nie była to niespodzianka, o jakiej marzyliśmy. Uważając, że piątka naszych dzieci to wystarczająca gromadka, przedsięwzięliśmy środki ostrożności, które miały zapobiec kolejnej ciąży. Sześć poprzednich podkopało moje zdrowie i lekarze przestrzegali mnie przed następną.

W trzecim miesiącu zaczęłam krwawić i odczuwać skurcze. Lekarze orzekli, że wydalłam fragment tkanki płodu, i byli pewni, że niedługo poronię. Ponieważ krwawienie nie ustępowało, przyjęto mnie na tydzień do szpitala. Czekaliśmy, aż mój organizm sam, w sposób naturalny pozbędzie się uszkodzonego płodu. Kiedy jednak wkrótce okazało się, że ciąża nadal się rozwija, jeden z lekarzy zasugerował, że powinnam rozważyć możliwość jej przerwania. Był przekonany, że dziecko, jeżeli je donoszę, najprawdopodobniej urodzi się zdeformowane. Nie miałam powodu mu nie wierzyć. Omówiłam wszystko z Joe, po czym zdecydowaliśmy, że poddam się zabiegowi.

Dzień przed planowanym terminem zgłosiłam się do szpitala na badanie, które przeprowadził inny zespół lekarzy. Oni również byli zdania, że powinnam usunąć ciążę. Ostatni z lekarzy, przechodząc obok mnie już do wyjścia, powiedział: „Nie rozumiemy, dlaczego ten dzieciak tak się pani uczeplił”. Poczułam przebiegający mnie dreszcz i pomyślałam nagle: Nie rób tego. Musisz mieć to dziecko. Ono chce się urodzić.

Kiedy tego wieczoru Joe przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu, opowiedziałam mu o wszystkim, stwierdzając na koniec, że to dziecko powinno się jednak urodzić.

Długo o tym rozmawialiśmy. Żadne z nas nie pragnęło kalekiego dziecka, ale wiedziałam, że nie mogłabym żyć z myślą, że się go pozbyłam. Joe zgodził się ze mną, iż powinnam zachować ciążę. Jeszcze tego samego wieczoru spotkaliśmy się z lekarzami i powiedzieliśmy im, co postanowiliśmy. Byli temu stanowczo przeciwni. Musimy pozbyć się uszkodzonego płodu. Oznajmili, że żaden lekarz nie opowie się za kontynuowaniem tej ciąży, a już na pewno żaden z

nich.

Następnego dnia zostałam wypisana ze szpitala i zaczęłam szukać lekarza, który by zgodził się mnie prowadzić. W końcu znalazłam młodego doktora, który właśnie rozpoczął prywatną praktykę po przepracowaniu kilku lat w Siłach Powietrznych. Poczował się do pewnej solidarności z Joe ze względu na podobną przeszłość zawodową i zgodził się, bym była jego pacjentką. Widział pewną szansę na utrzymanie dziecka przy życiu, ale również obawiał się, że może urodzić się zdeformowane. Kazał mi leżeć w łóżku i podyktował całą listę zaleceń, których miałam przestrzegać.

Joe i dzieci wspaniale zastępowali mnie w domu, a ja wykorzystywałam ten czas na zaoczne kursy kończące moje średnie wykształcenie. Kolejne miesiące szybko przeminęły i gdy zbliżał się termin rozwiązania, zaczęłam się coraz bardziej bać. Przygotowaliśmy dzieci, że dziecko może urodzić się zdeformowane albo martwe. Joe i ja próbowaliśmy pocieszać się nawzajem, przypominając sobie słowa jednego z lekarzy: „Ten dzieciak uczeplił się pani”. Były to czasy, gdy szpitale nie godziły się na obecność ojców w sali porodowej, a perspektywa rodzenia tego dziecka bez męża przy moim boku była dla mnie przerażająca. Lekarze wprawdzie zgodzili się, by Joe asystował przy moim porodzie, jednak obawiali się jego nieprzewidzianych reakcji. Upowiedzieli go, że gdy zemdleje lub zasłabnie w trakcie zabiegu, nie będą mieli czasu udzielić mu pomocy. Poproszono go, by podpisał oświadczenie, zwalniające szpital od wszelkiej odpowiedzialności za tego typu sytuację.

Zostałam przyjęta do szpitala 19 czerwca 1968 roku. Bałam się tak bardzo, że nie mogłam opanować drżenia całego ciała. Joe stał przy mnie w sali porodowej trzymając mnie za rękę i głaszcząc po głowie. Musiał włożyć zielony fartuch i białą maskę, tak jak lekarze. Spoglądał na mnie swymi spokojnymi szaroniebieskimi oczami, chcąc mi dodać otuchy, ale odgadłam z poruszanej szybkim oddechem maski, że jest nie mniej przerażony niż ja. Kiedy rozpoczął się poród, trzymaliśmy się mocno za ręce.

Gdy dziecko się urodziło, pilnie śledziłam wzrok lekarza. Po jego oczach poznałam natychmiast, że niepotrzebnie się zadręczaliśmy przez te wszystkie miesiące. Położył dziecko na moim brzuchu, żebym je mogła potrzymać. Razem z Joe szybko obejrzelśmy je od stóp do głów i zaczęliśmy płakać. Nasz syn był zdrowy i cały, niczego mu nie brakowało. Kiedy go trzymałam, wiedziałam z całą pewnością, że był mi przeznaczony i bardzo chciał się narodzić.

Gdybym jeszcze raz miała podjąć decyzję, nie zmieniałabym jej ani na jotę, mimo że ciąża nadszarpnęła moje zdrowie. W ciągu następnych kilku lat ujawniło się wiele kłopotów zdrowotnych, tak że w końcu lekarz zasugerował, bym poddała się amputacji macicy. Długo rozważaliśmy to z Joe, aż wreszcie postanowiłam pójść za radą lekarza. Został ustalony dzień operacji.

Rankiem tego dnia przyszła nowa pielęgniarka i potrząsnęła mną, żeby mnie obudzić. Chciała dać mi zastrzyk nasenny. Byłam ubawiona, że budziła mnie tylko po to, by zaraz potem znów uśpić. Pewnie bym się roześmiała, ale poczułam już działanie narkotyku rozchodzącego się żyłami po całym ciele. Chyba zajrzał wtedy do mojego pokoju lekarz, bo usłyszałam pytanie: „Gotowa?” — a potem zapadła łagodna ciemność.

Było już po południu, kiedy zaczęłam odzyskiwać świadomość. Stał przy mnie mój lekarz i mówił, że operacja się udała i że moje samopoczucie wkrótce się poprawi. Pamiętam, że pomyślałam sobie: To świetnie. Teraz będę mogła wreszcie trochę odpocząć i przestać się martwić operacją. I znów zapadłam w sen.

W nocy obudziłam się i rozejrzałam wokół. Chociaż umieszczono mnie w dwuosobowym pokoju, byłam w nim sama. Ozdobiony był wesołymi tapetami w żółte i pomarańczowe pasy. Miły pokój, pomyślałam. Stały w nim dwa nocne stoliki, dwie szafki, telewizor, a przy moim łóżku znajdowało się duże okno. Prosiłam o okno, gdyż od dzieciństwa cierpiałam na klaustrofobię. Na zewnątrz było ciemno, pokój oświetlała tylko nocna lampka nad umywalką przy drzwiach. Zadzwoiłam po pielęgniarkę i poprosiłam o wodę. Odpowiedziała, że już wcześniej po południu dostałam trochę kostek lodu, ale ja niczego takiego sobie nie przypomielałam. Powiedziała też, że odwiedził mnie mąż z przyjaciółmi, lecz ja również i tego nie pamiętałam. Zdawałam sobie sprawę

z tego, że wyglądam okropnie, i nie chciałam, by mnie ktokolwiek oglądał — zwłaszcza wtedy, kiedy ja nic o tym nie wiem. Gdy popatrzyłam po sobie, spostrzegłam, że moja koszula skrywa zaledwie to, co najważniejsze. Będę musiała porozmawiać z Joe na temat przyprawiania przez niego przyjaciół.

O dziewiątej wieczorem pielęgniarka przyniosła mi lekarstwa. Jeśli nie liczyć niewielkiego bólu po cięciu, czułam się całkiem dobrze. Wzięłam tabletki i usadowiłam się na łóżku tak, by pooglądać trochę telewizję przed snem. Musiałam się zdrzemnąć, bo gdy popatrzyłam znów na zegar, było wpół do dziesiątej. Nagle poczułam, że kręci mi się w głowie i zapragnęłam zadzwonić do Joe. Znalazłam telefon i jakoś udało mi się wykręcić numer, ale samej rozmowy nie pamiętam. Stawałam się coraz bardziej zmęczona i jedyne, czego chciałam, to spać. Zdołałam jeszcze zgasić telewizor i podciągnąć koc pod brodę. Zimno przenikało mnie do szpiku kości. Czułam się tak osłabiona, jak nigdy dotąd.

Moja śmierć

Znów musiałam się trochę zdrzemnąć, ale tylko na chwilę, ponieważ zegar nadal wskazywał wpół do dziesiątej, kiedy się ocknęłam. Doznałam przedziwnego uczucia, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo. Rozejrzałam się po pokoju. Drzwi były lekko uchylone. Znad umywalki w dalszym ciągu sączyło się przyćmione światło. Wzbierał we mnie coraz większy strach. Zmysły mówiły mi, że jestem sama, a czułam się coraz gorzej.

Chciałam sięgnąć do dzwonka, by przywołać pielęgniarkę, ale mimo że starałam się ze wszystkich sił, nie mogłam zdobyć się na żaden ruch. Poczułam się bardzo słaba, jakby odpłynęła ze mnie cała krew. Zaczęło mi szumieć w głowie i w dalszym ciągu robiło mi się coraz bardziej słabo, aż wreszcie odniosłam wrażenie, że moje ciało jest nieruchome i martwe.

Wtedy poczułam nagły przypływ energii. Jakby coś we mnie w środku pękło i moja dusza została nagle wyciągnięta z mojej klatki piersiowej, i przyciągana przez ogromny magnes, wznosiła się w górę. Poczułam się wolna, to było moje pierwsze wrażenie. W tym doznaniu nie było nic nienaturalnego. Krążyłam pod sufitem unosząc się nad swoim łóżkiem. Czułam się tak, jakbym zawsze to robiła. Moje poczucie wolności było nieograniczone. Obróciłam się i zobaczyłam ciało leżące na łóżku. Ciekawa byłam, kto to jest, zaczęłam się więc obniżać w tym kierunku. Pracowałam kiedy jako pielęgniarka i wiedziałam, jak wygląda martwy człowiek, kiedy więc zobaczyłam twarz leżącej z bliska nie miałam wątpliwości, że jest bez życia. Wtedy dopiero poznałam, że jest to moja twarz. Nie byłam tym zaskoczona ani przestraszona. Moje ciało wydawało mi się młodsze i ładniejsze, niż pamiętałam, a teraz leżało martwe. To było tak, jakbym zdjęła stale noszone ubranie i odłożyła je na zawsze — choć nadal jeszcze nadawało się do użytku. Uzmysłowiłam sobie, że nigdy nie widziałam siebie trójwymiarowej, lustro dawało tylko płaski obraz. Ale oczy duszy widzą wielowymiarowo, nie tak, jak oczy żyjącego. Widziałam swój cieło ze wszystkich stron jednocześnie — z przodu z tyłu i z boków. Ujrzałam w nim nie znaną mi przedtem głębię. Może dlatego nie poznałam siebie w pierwszej chwili.

Moje nowe wcielenie było nieważkie i bardzo zwrotne. Zafascynowało mnie to. Mimo że jeszcze przed chwilą odczuwałam ból pooperacyjny, teraz nic mi nie dokuczało. Pod każdym względem byłam doskonałą całością. Oto, kim naprawdę jestem, pomyślałam.

Znów skupiłam uwagę na swoim ciełe. Uświadomiłam sobie, że nikt jeszcze nie wie, że umarłam i poczułam pilną potrzebę zawiadomienia o tym kogoś. Jestem martwa — pomyślałam — a nie mogę nikomu o tym powiedzieć. Ale zanim się poruszyłam, pojawiło się obok mnie trzech mężczyzn. Ubrani byli w piękne jasnobrązowe szaty. Każdy nosił przetykany złotem pas, którego końce zwisały luźno. Zobaczyłam otaczającą ich poświatę i wtedy uświadomiłam sobie, że ze mnie również emanuje delikatny blask, który łączy się z jasnością wokół nas wszystkich. Nie bałam się. Mężczyźni wydawali się mieć po jakieś siedemdziesiąt— osiemdziesiąt lat, ale w jakiś sposób wiedziałam, że ich wiek nie może być mierzony ziemską miarą. Wyczułam w nich wielką wiedzę i mądrość. Myślałam o nich jako o mnichach — głównie z powodu ich szat — i czułam, że mogę im ufać.

Byli ze mną od wielu „wieczności”, stwierdzili. Nie bardzo to rozumiałam. Dużo czasu minęło,

zanim jedna „wieczność” stała się dla mnie pojęciem zrozumiałym, cóż dopiero mówić o kilku. Wieczność zawsze kojarzyła mi się z przyszłością, tymczasem ci mężczyźni mówili o przeszłych wiecznościach. To było znacznie trudniejsze do pojęcia. Ale zaraz potem w moim umyśle pojawiły się obrazy z odległej przeszłości, sprzed mego życia na ziemi, ukazujące moje związki z tymi ludźmi „przedtem”. Przekonałam się, że naprawdę znałam każdego z nich od „wieczności”. Zrozumiałam, że moja śmierć była w rzeczywistości powtórny narodzeniem się do lepszego życia, które oznaczało rozumienie i wiedzę sięgającą zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość. Wiedziałam też, że otaczający mnie mężczyźni byli moimi najbliższymi przyjaciółmi w lepszym życiu, że zostali wybrani, aby być ze mną. Wyjaśnili mi, że wraz z innymi pełnili funkcje moich aniołów-stróżów podczas mego życia na ziemi. Ale miałam wrażenie, że byli także moimi aniołami przewodnimi.

Oznajmili, że umarłam przedwcześnie. W jakiś sposób przekazali mi uczucie spokoju, mówiąc, żebym się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze. Kiedy to uczucie mnie przeniknęło, ogarnęła mnie świadomość ich głębokiej miłości i troski. Wszystkie te uczucia i myśli przechodziły z duszy do duszy, z umysłu do umysłu. Początkowo wydawało mi się, że używają ust. Ale oni komunikowali się w sposób znacznie szybszy i doskonalszy. Być może najlepiej określałoby to słowo „telepatia”, ale nawet ono nie oddawało istoty tego zjawiska. Po prostu czułam intencje moich towarzyszy i ich uczucia. Byłam świadoma ich miłości do mnie. Radością napełniał mnie fakt, że tak bardzo mnie kochali. Język, jakim poprzednio się posługiwałam, mój cielesny język, był naprawdę ograniczony; uzmysłowiłam sobie, że moja dotychczasowa zdolność wyrażania uczuć była prawie żadna w porównaniu z tym, czego doświadczałam teraz.

Było wiele spraw, którymi chcieliśmy się ze sobą podzielić, ale wiedzieliśmy, że nie to jest w tym momencie najważniejsze. Pomyślałam nagle o swoim mężu i dzieciach i zatroskałam się, jak moja śmierć wpłynie na ich życie. Jak mój mąż poradzi sobie z sześciorgiem dzieci? I jak dzieci dadzą sobie radę beze mnie? Musiałam ich wszystkich jeszcze raz zobaczyć, przynajmniej po to, by ukończyć własny niepokój.

Moim jedynym pragnieniem było opuścić szpital i pójść do domu. Po tylu latach oczekiwania na własną rodzinę i staraniach, byśmy zawsze byli wszyscy razem, lękałam się, że teraz ich utracę. Albo raczej, że to oni mnie utracą.

Zaczęłam rozglądać się za wyjściem i zauważyłam okno. Szybko przeszłam przez nie i wynurzyłam się na zewnątrz. Wkrótce miałam się dowiedzieć, że nie musiałam szukać okna, gdyż mogłam opuścić pokój w dowolnym miejscu. Do skorzystania z okna skłoniły mnie jedynie zakorzenione przyzwyczajenia z życia doczesnego. W rzeczywistości moje duchowe ciało mogło przechodzić przez wszystko, co przedtem było dla mnie nie do przebycia. Zresztą okno, przez które się wydostałam, też pozostało zamknięte.

Moja podróż do domu trwała okamgnienie. Gdy tylko uświadomiłam sobie, że jestem do tego zdolna, zaczęłam przemieszczać się z niebywałą prędkością — niemal nie zauważając migających przede mną drzew. Niczego nie postanawiałam, nie zwracałam się w żadnym określonym kierunku — wystarczyło, że pomyślałam o domu, i już tam zdążyłam. W jednej chwili znalazłam się w środku i skierowałam do salonu.

Zobaczyłam swego męża siedzącego w swoim ulubionym fotelu, czytającego gazetę. Zobaczyłam swoje dzieci biegające po schodach, choć wiedziałam, że miały przygotowywać się już do spania. Dwoje z nich walczyło na poduszki, co było ich normalnym obyczajem przed pójściem do łóżek. Nie pragnęłam się z nimi porozumieć, chciałam tylko wiedzieć, jak będzie wyglądało ich życie beze mnie. Kiedy przyglądałam się im po kolei, zobaczyłam coś w rodzaju projekcji ich przyszłości — miałam możliwość wejrzenia w przyszłe życie każdego z nich z osobna. Zaczęłam rozumieć, że każde z moich dzieci przyszło na świat po swoje własne doświadczenia i że chociaż nazywałam je „moimi”, myliłam się. Były niezależnymi duchami, tak jak ja, posiadającymi inteligencję, która rozwinęła się jeszcze przed ich urodzeniem. Każde z nich miało wolną wolę i samo musiało decydować o wyborze dalszej drogi. Tylko chwilowo zostały oddane pod moją opiekę.

Wiedziałam, że moje dzieci mają swój własny program życiowy, po wypełnieniu którego zakończą swój pobyt na ziemi. Ujrzałam niektóre czekające je próby i trudności, ale rozumiałam, że są one niezbędne dla ich rozwoju. Nie było potrzeby smuć się ani obawiać. W końcu upłynie jedynie

chwila do momentu, kiedy znów będziemy wszyscy razem. Nic złego się nie stanie ani mojemu mężowi, ani moim najdroższym dzieciom, całej rodzinie, na którą tak długo czekałam. Wiedziałam, że dadzą sobie radę, mogłam więc odejść.

Przepełniło mnie uczucie wdzięczności. Miałam wrażenie, że wizja ta dana mi była po to, bym łatwiej przeszła przez śmierć.

Nagle owładnęło mną pragnienie, by posunąć naprzód swoje własne życie i przeżyć to, co mnie jeszcze czekało. Znalazłam się znów w szpitalu, choć nie pamiętam, w jaki sposób. Zobaczyłam, że moje ciało nadal spoczywa w łóżku, jakiś niecały metr pode mną i trochę z lewej strony. Moi trzej przyjaciele byli tam również, czekali na mnie. Znów odczułam ich miłość do mnie i radość, że mogli mi pomóc.

Zrozumiałam, że czas iść naprzód. Zdawałam sobie sprawę, że moi przyjaciele mnisi nie będą mi już towarzyszyć.

Usłyszałam odgłosy przynaglające mnie do dalszej drogi.

W tunelu

Można poznać, kiedy się staje w obliczu potężnej siły. Teraz już o tym wiedziałam. Głębokie dudnienie i łoskot zaczęły wypełniać pokój. Wyczuwałam energię, kryjącą się za tymi odgłosami. Ale, mimo że hałas był okropny, i tym razem doznałam bardzo miłego uczucia — byłam niemal jak zahipnotyzowana. Słyszałam kuranty czy może raczej odległe dzwony — wspaniałe dźwięki, których nigdy nie zapomnę. Zaczęła mnie otaczać ciemność. Łóżko, światło przy drzwiach i cały pokój zdawały się niknąć, a potem nagle zapadłam miękko w wielką, wirującą czarną masę.

Poczułam się, jakby wciągnęło mnie potężne tornado. Nie widziałam nic prócz intensywnej, prawie namacalnej ciemności. Ta ciemność była czymś więcej niż brakiem światła, była gęstą czernią, niepodobną do niczego, co dotychczas znałam. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że powinnam się przerazić — ja jednak nadal miałam niezmiernie przyjemne doznania.

Przepełniał mnie spokój i poczucie bezpieczeństwa. Czułam, że błyskawicznie przesuwałam się do przodu, a hałas przycichł. Znajdowałam się w pozycji półleżącej, nogami do przodu, głowę miałam lekko uniesioną. Prędkość mojego przemieszczania się była niewiarygodna, wydawało mi się, że nie mogła być mierzona nawet latami świetlnymi. Ogarniał mnie coraz większy spokój, czułam, iż mogłabym pozostać na zawsze w tym cudownym stanie; wiedziałam też, że mogłabym, gdybym tylko chciała.

Zaczęłam zdawać sobie sprawę z obecności innych ludzi i zwierząt podróżujących wraz ze mną, tyle że w pewnej odległości. Nie widziałam moich towarzyszy, lecz czułam, że ich doznania są takie same jak moje. Nie byli ze mną związani w żaden sposób, nie stanowili dla mnie zagrożenia, wkrótce przestałam więc zwracać na nich uwagę. Miałam świadomość, że są jeszcze inni, którzy nie posuwają się naprzód jak ja, ale pławią się w tej cudownej ciemności. Albo nie mieli ochoty, albo nie wiedzieli, jak się przenieść. Ale nie było w nich strachu.

Poczułam, że zachodzi proces uzdrawiania. Miłość przepełniała wibrującą, ruchomą masę, coraz głębiej zapadałam w jej ciepło i czern, napawając się poczuciem bezpieczeństwa i spokoju. Pomyślałam sobie, że musi to być dolina śmierci. Nigdy w życiu nie czułam się tak błogo.

W objęciach jasności

Ujrzałam odległe światełko. Otaczająca mnie czarna masa zaczęła przybierać kształt tunelu, poczułam, że sunę nim z jeszcze większą prędkością, zdążając w kierunku owego światła. Wydawało mi się ono bardzo pociągające, ale wiedziałam, że nie wszyscy z podróżujących wraz ze mną ludzi odbierają je w ten sposób. Kiedy się zbliżyłam, spostrzegłam, że u wylotu tunelu stoi postać ludzka, i z niej promieniuje wokół jasność. Kiedy zbliżyłam się jeszcze bardziej, blask stał się oślepiający — o wiele bardziej niż blask słońca czy czegokolwiek innego, co można by opisać

słowami — wiedziałam, że żadne ziemskie oczy nie mogłyby patrzeć w tę jasność bez uszczerbku. Mogły ją znieść tylko oczy duszy — i to mi się podobało. Kiedy zbliżyłam się jeszcze bardziej, zaczęłam przybierać postawę stojącą.

Spostrzegłam, że światło otaczające znajdującą się przede mną postać jest złote, a dalej przechodzi w olśniewającą, wspaniałą jasność, rozlewającą się daleko w przestrzeni. Poczułam, że owa jasność miesza się z moją jasnością. Było to tak, jakby w pokoju stały obok siebie dwie lampy, obie zapalone, i ich światła przenikały się. Nie sposób powiedzieć, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie — tworzyły po prostu wspólne światło. Kiedy obie nasze jasności złączyły się ze sobą, rozumiałam, że dotarłam do celu, i poczułam eksplozję najgłębszej miłości.

To była najczystsza miłość, jakiej kiedykolwiek zaznałam, więc gdy zobaczyłam ramiona rozwarte na moje przyjęcie, podeszłam do Niego, by mnie uściskał, powtarzając: „Jestem w domu. Jestem w domu. Nareszcie jestem w domu”. Wyczułam Jego potęgę i rozumiałam, że zawsze byłam Jego częścią, i że w rzeczywistości nigdy się z Nim nie rozstałam. Jak dobrze było być znów razem z Nim, znaleźć się w Jego objęciach. Wiedziałam, że zna wszystkie moje grzechy i błędy, ale w tej chwili nie miały one żadnego znaczenia. Teraz chciał objąć mnie i dzielić ze mną swoją miłość, tak jak ja chciałam z Nim dzielić swoją.

Nie było wątpliwości, kto jest przy mnie. Wiedziałam, że to mój Zbawiciel, przyjaciel i Bóg. To był Jezus Chrystus, który kochał mnie zawsze, nawet wtedy, kiedy myślałam, że mnie nienawidzi. On był samym życiem i samą miłością, Jego miłość przepelniała mnie bezgranicznym szczęściem. Wiedziałam, że znałam Go od początku, na długo przed swoim ziemskim życiem, pamiętała Go moja dusza.

Bałam się Go przez całe życie, a teraz przekonałam się — zobaczyłam — że to mój najszczęśliwszy przyjaciel. Delikatnie rozluźnił uścisk ramion, bym odsunęła się na odległość pozwalającą patrzeć Mu w oczy, i powiedział: „Twoja śmierć była przedwczesna, twój czas jeszcze nie nadszedł”. Żadne słowa usłyszane do tej pory nie zrobiły na mnie takiego wrażenia. Dotąd nie bardzo wiedziałam, jaki cel ma moje życie. Po prostu krążyłam w poszukiwaniu dobra i miłości, lecz nigdy naprawdę nie wiedziałam, czy moje postęпки były słuszne. Teraz, słysząc Jego słowa, rozumiałam, że mam przed sobą misję do spełnienia. Nie miałam pojęcia, co to miało być, ale wiedziałam już, że moje życie na ziemi nie było bez znaczenia.

Mój czas jeszcze nie nadszedł...

Nadejdzie, kiedy dopełni się moja misja, cel, przeznaczenie mego życia. Moje istnienie na ziemi miało swoją przyczynę. Ale mimo że to rozumiałam, moja dusza się buntowała. Czy oznaczało to, że będę musiała tam wrócić? „Nie, teraz już Cię nigdy nie opuszczę” — powiedziałam Jezusowi.

Rozumiał, co chciałam przez to powiedzieć, nie zachwiało to Jego miłością do mnie. Czy to jest ten sam Jezus, którego bałam się przez całe życie? Jest całkowicie niepodobny do moich wyobrażeń o Nim. Przepelnia Go miłość — myślałam.

Pytania kłębiły mi się w głowie. Chciałam wiedzieć, dlaczego moja dusza mogła przed Nim stanąć, zanim nastąpiło zmartwychwstanie. Nadal myślałam kategoriami religii, jakiej mnie uczono w dzieciństwie. Ale teraz mój umysł zaczęło wypełniać Jego światło, tak że uzyskałam odpowiedź na swoje pytanie wcześniej nawet, nim zdażyłam je zadać. Jego światło było wiedzą. Było zdolne oświecić mnie, przekazać mi wszystkie prawdy. Pytania nasuwały mi się z nieprawdopodobną szybkością, lecz równie szybko uzyskiwałam na nie odpowiedzi — pełne i wyczerpujące. Okazało się, że zupełnie opacznie pojmowałam śmierć. Grób nigdy nie miał być miejscem dla duszy, jedynie dla ciała. Nie czułam się osądzana za to, że się myliłam. Pomyślałam sobie, że prosta, żywa prawda zastąpiła mój błąd. Rozumiałam, że jest ze mną Syn Boży, który jeszcze przed stworzeniem świata postanowił zostać naszym Zbawicielem. Jego misją było zejść na ziemię i nauczać miłości. Wiedza o tym była czymś więcej niż tylko pamiętaniem. Zaczynała mi wracać świadomość rzeczy, które wydarzyły się na długo przed moim życiem na ziemi — rzeczy, które od chwili moich urodzin skrywała zasłona zapomnienia.

Wyrzucając z siebie coraz więcej pytań, zdałam sobie nagle sprawę z Jego poczucia humoru. Prawie ze śmiechem napomknął, że może bym nieco zwolniła tempo, i tak przecież dowiem się wszystkiego. Ale ja chciałam wiedzieć wszystko od razu. Swoją ciekawością torturowałam kiedyś rodziców, potem męża, czasem nawet siebie samą, ale teraz moim nauczycielem był sam Mistrz!

Moja zdolność pojmowania wzrosła do tego stopnia, że w jednej chwili ogarniałam umysłem całe tomy. Jakby wystarczał mi rzut oka na książkę, by pojąć natychmiast wszystko, co w niej zawarto. Jakbym siedziała tylko, a książka sama odsłaniała przede mną swoją treść od początku do końca — ze wszystkimi szczegółami, podtekstami, każdą możliwą interpretacją. I wszystko to w ułamku sekundy. Kiedy pojmowałam jedną kwestię, zaraz nasuwały mi się następne pytania, na które znów otrzymywałam odpowiedź. Była to piramida elementów, wspierających się o siebie nawzajem, jak gdyby każda prawda była w taki właśnie sposób wewnętrznie złożona. Określenie „wszechwiedzący” nigdy nie nabrało tak pełnego znaczenia jak teraz. Byłam naładowana wiedzą. Zachwyliła mnie moja zdolność rozumienia tajemnic wszechświata przez samo tylko pomyślenie o nich.

Chciałam wiedzieć, dlaczego na świecie było tyle wyznań. Dlaczego Bóg nie dał nam tylko jednego Kościoła, jednej religii? Odpowiedź okazała się prosta i zrozumiała. Każdy z nas, dowiedziałam się, znajduje się na innym poziomie rozwoju, dlatego konieczne jest odpowiednie zróżnicowanie poziomów wiedzy duchowej. Wszystkie religie świata są niezbędne, ponieważ istnieją ludzie, którzy potrzebują ich nauk. Każdy Kościół zaspokaja pewne duchowe potrzeby, których inny przypuszczalnie by nie zaspokoił. Żaden nie może zaspokoić potrzeb wszystkich ludzi na wszystkich poziomach. Kiedy człowiek wzniesie się na wyższy poziom rozumienia Boga i swego wewnętrznego rozwoju, może poczuć pewien niedosyt i zacząć szukać innej filozofii bądź religii, która by zapełniła tę lukę. Osiągnąwszy wyższy stopień wtajemniczenia, będzie znowu łaknął głębszej wiedzy i poznania następnych prawd, szukał dróg dalszego rozwoju.

Świadoma tego wszystkiego, wiedziałam, że nie mamy prawa krytykować żadnej religii — w oczach Stwórcy wszystkie one są cenne i ważne. Ludzie mający do spełnienia doniosłe misje pojawiają się w różnych krajach, we wszystkich religiach, na wszystkich przystankach życia. Ewangelia jest wszędzie, ale większość ludzi nie potrafi do niej dotrzeć. Aby pojąć tę prawdę, należy słuchać Ducha Świętego i zapomnieć o własnym ego.

Chciałam koniecznie się dowiedzieć, jaki jest cel naszego życia na ziemi. Nie mogłam sobie wyobrazić, by istniała jakakolwiek dusza, która sama chciałaby zrezygnować z tego wszystkiego, co dawał Jezus: wszechogarniającej miłości, odkrywania nowych światów, tworzenia idei i zdobywania wiedzy. Dlaczego ktoś miałby chcieć wrócić stąd na ziemię? I wtedy przypomniałam sobie stworzenie świata — doświadczyłam go tak, jakby wszystko odbywało się powtórnie na moich oczach, Jezus chciał bowiem, bym zawsze pamiętała, jak się wtedy czułam.

Zanim duszom wszystkich ludzi dane było żyć ziemskim życiem, uczestniczyły w stworzeniu świata. Byliśmy wtedy razem z Bogiem, wiedzieliśmy, że On nas stwarza i że jesteśmy Jego dziećmi, otoczonymi głęboką miłością. Jezus Chrystus również tam był. Ku swemu zdziwieniu pojąłam, że Jezus jest niezależną od Boga istotą, mającą swoje odrębne boskie cele, wiedziałam też, że Bóg jest naszym wspólnym Ojcem. Wychowana w protestanckiej wierze, byłam przekonana, że Bóg Ojciec i Syn Boży są jedną osobą. Kiedy przebywaliśmy wszyscy razem, Bóg Ojciec wyjaśnił nam, że pobyt na ziemi przyczyni się do naszego duchowego rozwoju. Każda dusza mająca zejść na ziemię brała udział w ustanawianiu praw, którym mieli podlegać wszyscy ludzie. Zawierały się w nich również prawa fizyki, ograniczenia, jakie narzuca nam ciało, oraz potęga ducha, której doświadczamy, gdy nadejdzie kres naszej ziemskiej egzystencji. Byliśmy przy tym, jak Bóg kreował świat roślin i zwierząt. Wszystko stwarzane było najpierw w sferze duchowej, zanim nabrało fizycznych kształtów — systemy słoneczne, słońca, księżycy, gwiazdy, planety, życie na nich, góry, rzeki, morza itd. Zobaczyłam cały proces powstawania, a potem, że bym lepiej wszystko rozumiała, Bóg powiedział mi, że to, co zostało stworzone w sferze duchowej, można porównać do naszych odbitek fotograficznych — sfera ta jest jak ostre, wyraźne zdjęcie, natomiast jej fizyczny odpowiednik przypomina ciemny negatyw. Ziemia jest więc tylko cieniem tego, co zostało stworzone w sferze ducha, ale jest nam potrzebna do naszego rozwoju. Zrozumiałam, iż sami uczestniczyliśmy w kreowaniu warunków życia na ziemi.

Wiele twórczych myśli, jakie powstają w naszych umysłach, jest wynikiem niewidzialnego natchnienia. Wiele wynalazków czy choćby tylko technicznych ulepszeń najpierw powstaje w sferze ducha. Wszystko to wskazuje na istnienie żywej więzi między światem duchowym a doczesnym — dusze z tamtego świata są nam niezbędne do naszego rozwoju. Są one niezmiernie

szczęśliwe mogą nam pomagać w każdy dostępny im sposób.

Dowiedziałam się, że przed swoim życiem na ziemi poznajemy, a nawet wybieramy sobie misje do spełnienia. Nasze pozycje życiowe wynikają z założeń tych misji. Oświeceni przez Boga, znamy swoje przyszłe doświadczenia i próby, jakimi będziemy poddawani — i przygotowujemy się na nie. Łączymy się z innymi — członkami rodziny, przyjaciółmi — aby dopomogli nam w wypełnieniu naszego ziemskiego zadania. Przychodzimy na świat jako ochotnicy, żądni poznania i doświadczenia wszystkiego, co Bóg nam przeznaczył. Każdy, kto decydował się na życie na ziemi, musiał być odważną duszą.

Dano nam wolność wyboru. Nasze własne czyny determinują bieg naszego życia, możemy je dowolnie zmieniać lub nadawać mu inny kierunek. Zrozumiałam fundamentalną prawdę: Bóg przyrzekł, że nie będzie się wtrącał do naszego życia, jeśli Go o to nie poprosimy.

Byliśmy Mu wdzięczni za to, że sami możemy dokonywać wyborów. Mogły nam one przynieść radość lub smutek, ale decyzja należała do nas.

Poczułam ulgę, gdy dowiedziałam się, że ziemia nie jest naszym prawdziwym domem, że nie z niej się wywodzimy. Jest tylko miejscem naszego czasowego pobytu i nauki. Dowiedziałam się też, że grzeszność nie jest naszą prawdziwą naturą. Jako dusze znajdujemy się na różnych poziomach jasności — którą jest wiedza — a nasza boska, duchowa natura jest przepelniona pragnieniem czynienia dobra. Jednakże jako ludzie pozostajemy w ciągłej niezgodzie ze swoimi duszami. Choć nasze ciało jest tak słabe, wciąż się opiera. Mimo że nasze dusze są pełne światła, prawdy i miłości, muszą toczyć nieustanną walkę, by odnieść zwycięstwo nad ciałem. Ta walka wzmacnia je, dodaje im sił. Ci, którzy osiągnęli już wysoki stopień rozwoju, pozostają w idealnej harmonii ciała i duszy, harmonii, która przynosi im spokój i dar niesienia pomocy innym.

Kiedy uczymy się przestrzegać praw tego świata, uczymy się także korzystać z nich dla naszego dobra. Uczymy się żyć w zgodzie z otaczającymi nas twórczymi mocami. Bóg obdarzył nas wszystkich zdolnościami, jednych większymi, innych mniejszymi, w zależności od naszych potrzeb. Korzystając z nich, uczymy się wykorzystywać i rozumieć prawa rządzące światem oraz przełamywać ograniczenia narzucane przez ziemskie życie. Wszystko to pozwoli nam lepiej służyć naszym bliźnim. Nasze dokonania w doczesnym życiu pozostaną bez znaczenia, jeśli nie będą służyć ludzkości. Zdolności i talenty dano nam po to, byśmy lepiej służyli innym — tylko w ten sposób rozwijamy się duchowo.

Najwyższym dobrem jest miłość, bez niej bylibyśmy niczym. Jesteśmy na ziemi po to, by miłować wszystkich ludzi. Ich doczesna powłoka może być różna — mogą być czarni, żółci, czekoladowi, urodziwi lub brzydki, biedni lub bogaci, inteligentni albo tępi — ale nie nam sądzić ich po cechach zewnętrznych. Nasze dusze powinny być wypełnione miłością i wieczną energią. Każdy ma przydzielone kwantum światła i prawdy, które podczas ziemskiego życia może powiększyć lub pomniejszyć. Ale tylko Bóg zna serce człowieka i tylko Bóg może sprawiedliwie go osądzić. On zna całe nasze dusze, my możemy oceniać jedynie tymczasową siłę lub słabość. Ograniczenia, jakim podlegamy, sprawiają, że rzadko możemy wejrzeć w serce bliźniego.

Wszystko, co robimy, by okazać miłość, ma wartość i znaczenie — uśmiech, słowo zachęty, nawet najmniejszy akt poświęcenia. Dzięki tym czynkom dojrzewamy. Nie każdego łatwo nam pokochać, często dzieje się tak dlatego, że w innym człowieku dostrzegamy coś, co tkwi w nas samych i czego nie tolerujemy. Powinniśmy kochać również nieprzyjaciół — wznieść się ponad swój gniew, nienawiść, zazdrość, gorycz i niechęć do przebaczenia, które niszczą duszę. Kiedyś będziemy musieli zdać rachunek z tego, jak odnosimy się do innych ludzi.

Planowanie stworzenia świata przepelniało nas wielką radością i miłością do Boga, gdyż zobaczyliśmy, jak będzie wyglądał nasz ziemski rozwój i w jakie ze sobą wejdziemy związki.

Potem patrzyliśmy, jak nasze siostrzane i bratnie dusze wstępują po kolei w fizyczne ciała, jak każdy doświadcza na ziemi bólu i szczęścia, co dopomaga mu w doskonaleniu się. Pamiętam, jak obserwowałam pierwszych amerykańskich osadników, którzy przemierzali kontynent, i jak się radowałam, gdy wytrwali i spełnili swoją misję. Wiem, że zesłani tam zostali tylko ci, którym potrzebne było takie doświadczenie. Widziałam, jak aniołowie radują się sukcesami tych, którzy wyszli z próby zwycięsko, i jakie przepelnia ich współczucie dla tych, którym się nie udało. Jedni doznawali niepowodzeń z powodu własnej słabości, drudzy z powodu słabości innych. Zdawałam

sobie sprawę, że wielu z nas nie wypełniłoby tych zadań, że kiepscy byłiby z nas pionierzy. Lecz przecież wielu pierwszych osadników czy ludzi z innych epok nie sprostałoby z kolei próbom dnia dzisiejszego. Byliśmy tam, gdzie powinniśmy być.

Kiedy wszystko to do mnie dotarło, pojęłam, jak perfekcyjny jest boski plan. Każdy z nas wybrał z własnej woli swoje miejsce na ziemi i życiową pozycję. Wszyscy otrzymaliśmy więcej pomocy, niż byliśmy tego świadomi. Miłość, jaką nas Bóg obdarzył, przerastała każdą ziemską miłość, promieniowała na wszystkie Jego dzieci. Zobaczyłam anioły czekające, by nam towarzyszyć, cieszące się naszą radością i spełnieniem. Ponad wszystkim ujrzałam Jezusa Chrystusa, Stwórcę i Zbawiciela na ziemi, najbliższego przyjaciela, jakiego tylko można mieć. Gdy wziął mnie w ramiona i przytulił — poczułam, że nareszcie jestem w domu. Oddałabym wszystko, co mam, wszystko, czym kiedykolwiek byłam, aby znów napełnił mnie swoją miłością— abym znów mogła znaleźć się w Jego objęciach, w Jego wiecznym świetle.

Prawa

Przebywałam nadal w obecności Boga, wciąż skąpana w ciepłe Jego jasności. Nie odnosiłam wrażenia, że znajduję się w jakimś konkretnym miejscu, nie zarejestrowałam ani otoczenia, ani żadnych innych istot. On wiedział wszystko, co ja oglądałam; właśnie On sprawił, że mogłam to wszystko zobaczyć i zrozumieć.

Pozostawałam w Jego jasności, nadal padały pytania i odpowiedzi. Nasz dialog rozwijał się nie tylko pod względem szybkości, ale i rozległości tematów. W końcu każdy niemal aspekt istnienia wydawał się omówiony. Pomyślałam znów o prawach rządzących nami na ziemi i natychmiast zaczęła spływać we mnie boska wiedza. Wyczułam, że moje zainteresowanie tym tematem spotkało się ze szczególną życzliwością.

Ujrzałam, że istnieje wiele praw, które nami rządzą — prawa duchowe, fizyczne i uniwersalne. Większość z nich nie była nam znana, zaledwie je przeczuwaliśmy. Wszystkie prawa były podporządkowane celowi, jaki mieliśmy osiągnąć, i wszystkie się wzajemnie dopełniały. Kiedy je poznamy i nauczymy się korzystać zarówno z ich pozytywnej, jak i negatywnej mocy, zdobędziemy niewyobrażalną potęgę. Gdy łamiemy któreś z tych praw, sprzeciwiając się w ten sposób naturalnemu porządkowi świata, popełniamy grzech.

Wszystko zostało stworzone przez moc ducha. Każdy element, każda najdrobniejsza cząsteczka stworzenia zawiera w sobie inteligencję, która jest wypełniona duszą i życiem, a więc posiada zdolność odczuwania radości. Każdy taki element może niezależnie i samodzielnie działać oraz podlega ustanowionym przez Chrystusa prawom i siłom natury; gdy Bóg przemawia do owych elementów, one odpowiadają Mu i czerpią radość z wykonywania Jego poleceń.

Zrozumiałam, że żyjąc zgodnie z nakazami praw, które nami rządzą, będziemy nagradzani coraz większą wiedzą. Natomiast łamanie tych praw, czyli „grzeszenie”, może osłabić czy nawet zniszczyć wszystko, co dotychczas osiągnęliśmy. Wiele z popełnianych przez nas grzechów zawiera w sobie jednocześnie karę. Jeśli na przykład zanieczyszczamy środowisko, popełniamy „grzech” przeciwko ziemi, ale sami również ponosimy konsekwencje takiego łamania praw życia. Swoimi czynami możemy spowodować nadwątlenie fizyczne naszych sił, a nawet śmierć. Zagrazamy w ten sposób nie tylko sobie, ale i innym. Istnieją także bezpośrednie grzechy przeciwko ciału, takie jak przejadanie się czy niedojadanie, brań ruchu, zażywanie narkotyków oraz innych środków, których przyjmowanie pozostaje w niezgodzie z wymogami naszego organizmu lub go osłabia. Owe „grzechy” przeciwko ciału są nie mniej ważne od innych grzechów Jesteśmy odpowiedzialni za swoją doczesną powłokę

Dowiedziałam się, że ciało należy do duszy. W życiu ziemskim dusza ma nad nim sprawować pieczę i kontrolować je, podporządkowując sobie jego wszystkie potrzeby i apetyty. To dusza rządzi ciałem, a nie odwrotnie; to dusza dokonuje wyborów. Dążąc do doskonałości, powinniśmy utrzymywać w całkowitej harmonii umysł, ciało i duszę. Aby jednak nasza dusza mogła osiągnąć prawdziwą doskonałość, musimy dodać jeszcze do tej harmonii Chrystusową miłość i sprawiedliwość.

Kiedy te prawdy do mnie dotarły, cała moja dusza chciała krzyczeć z radości. Zrozumiałam je

tak, jak rozumiałam wszystko, co objawił mi Jezus. Zobaczyłam, że Bóg stworzył wiele wszechświatów, które wszystkie pozostają pod Jego kontrolą. Panuje nad wszystkimi prawami, siłami i wszelką materią. W naszym wszechświecie występują zarówno siły dobre, jak i złe, i obie są jednakowo potrzebne do naszego rozwoju. Bóg ma nad nimi absolutną władzę. Na siły dobre składa się w zasadzie wszystko to, co wydaje nam się dobre: jasność, dobroć, uprzejmość, miłość, cierpliwość, poświęcenie, nadzieja itd. Złe siły to również wszystko, co uważamy zazwyczaj za złe: ciemność, nienawiść, strach (najgroźniejsze narzędzie szatana), nieuprzejmość, nietolerancja, egoizm, rozpacz, zniechęcenie i tak dalej.

Oba te rodzaje sił walczą w nas ze sobą. Jeśli je opanujemy, stają się nam posłuszne. Rzeczy dobre przyciągają dobre, złe przyciągają złe. Jasność łączy do jasności, ciemność kocha ciemność. Zazwyczaj wiążemy się z ludźmi podobnymi do nas — dobrymi lub złymi, w zależności od tego, jacy sami jesteśmy. Ale to nasz wybór — czy będziemy źli, czy dobrzy. Już przez samo myślenie o rzeczach dobrych przyciągamy dobre siły. Zobaczyłam to na przykładzie: ujrzałam, jak wypowiedane przez człowieka słowa oddziałują na jego pole energetyczne. Ich wibracje w powietrzu przyciągają różne rodzaje energii. Ludzkie pragnienia mają podobne działanie — w naszych myślach zawarte są siły, za pomocą których kształtujemy własne otoczenie. W sferze fizycznej potrzeba na to trochę czasu, jednak w sferze duchowej dzieje się to natychmiastowo. Gdybyśmy zdawali sobie sprawę z siły oddziaływania naszych myśli, bardziej staralibyśmy się nad nimi panować. Gdybyśmy wiedzieli, jak wielką moc mogą mieć nasze słowa, częściej wybieralibyśmy milczenie. Swoimi myślami i słowami tworzymy własną słabość lub siłę. Nasze ograniczenia i radości biorą swój początek w naszych sercach. I zawsze zło możemy zastąpić dobrem.

Tak więc nasze myśli oddziałują na otaczające nas pole energetyczne, mają moc tworzenia. Każdy akt twórczy ma swój początek w umyśle. Ludzie obdarzeni talentem mogą tworzyć wyobraźnię rzeczy zarówno wspaniałe, jak i straszne. Niektórzy używają swej negatywnej energii do tworzenia rzeczy lub słów, które niszczą. Inni wykorzystują wyobraźnię w sposób pozytywny, udoskonalając to, co ich otacza. Ludzie ci tworzą radość i są błogosławieni. We wszystkim, co tworzy umysł, zawarta jest realna siła. Myśli stają się uczynkami.

Zrozumiałam, że życie przeżywa się głównie w wyobraźni i że — w czym jest tylko pozorna sprzeczność — to właśnie ona stanowi klucz do rzeczywistości. Urodziliśmy się po to, by żyć pełnią życia, by znajdować radość w naszej własnej twórczości — bez względu na to, czy będą to nowe myśli, rzeczy, uczucia czy doznania.

Mamy sami tworzyć nasze życie, wykorzystywać to, co zostało nam dane, doświadczać zarówno niepowodzeń, jak i sukcesów. Mamy robić użytek z naszej wolnej woli, aby wzbogacać swoją ziemską egzystencję.

Kiedy to wszystko pojęłam, znów uświadomiłam sobie, że miłość jest czymś najważniejszym. Miłość musi rządzić duszą, a dusza musi rosnać w siłę, by kierować zarówno umysłem, jak i ciałem. Pojęłam naturalną kolejność rzeczy. Po pierwsze, musimy kochać Stwórcę — to nasza największa miłość (choć możemy o tym nie wiedzieć, dopóki Go nie spotkamy). Po drugie, musimy kochać siebie samych — bez tego miłość odczuwana wobec innych jest fałszywa. Musimy zatem kochać wszystkich innych jak siebie samych. Kiedy ujrzemy w sobie światłość Jezusa, zobaczymy ją również u innych, i nie będziemy mogli nie kochać Jego cząstki znajdującej się w naszych bliźnich.

Kiedy przebywałam w jasności Stwórcy, zanurzona w Jego najgłębszej miłości, rozumiałam, że obawiając się Go w dzieciństwie, w gruncie rzeczy sama się od Niego odsuwałam. Kiedy myślałam, że mnie nie kocha, oddalałam od Niego swoją miłość. Ale On sam nigdy się nie odsunął. Był jak słońce w mojej galaktyce. Krążyłam wokół Niego, czasami bliżej, czasami dalej, lecz On nigdy nie przestał mnie kochać.

Zrozumiałam, że do mego oddalenia od Boga przyczyniali się inni ludzie, ale nie czułam wobec nich żalu. Byli to ludzie posiadający nade mną władzę, opanowani przez negatywną energię i nauczający miłości do Boga przez strach. Ich cele były pozytywne, lecz uczynki negatywne. Sami przejści lękiem, zastraszali podległych sobie, stawiając im ultimatum: „Będziecie się bali Boga lub pójdziecie do piekła”. Groźba kary nie skłaniała do kochania Stwórcy. Jeszcze raz rozumiałam, że

strach jest przeciwieństwem miłości i najgroźniejszym orężem szatana. Dopóki bałam się Boga, nie mogłam go szczerze kochać, a nie kochając go, nie mogłam też kochać czystą miłością ani siebie, ani innych. Prawo miłości zostało złamane.

Chrystus nadal uśmiechał się do mnie. Cieszyło Go, że czerpię przyjemność z dowiadywania się tego wszystkiego, cieszyła moja ekscytacja tym doznaniem.

Teraz wiedziałam, że Bóg naprawdę istnieje. Już nie tylko jako nieokreślona Siła Wyższa, sprawująca nad nami władzę — za tą Siłą ujrzałam Człowieka. Zobaczyłam kochającą Istotę, która stworzyła wszechświat i obdarzyła go wiedzą. Zobaczyłam, że On tą wiedzą rządzi i kontroluje jej potęgę. Zrozumiałam jasno, że Bóg chce, byśmy stali się do Niego podobni, i dlatego wyposażył nas w podobne do boskich zalety, takie jak siła wyobraźni i kreatywność, wolna wola, inteligencja oraz najważniejsza z nich — zdolność kochania. Zrozumiałam, że Bóg naprawdę chce, byśmy zbliżyli się do nieba, i że Jego wiara w nas sprawia, iż stajemy się do tego zdolni.

Uzdrowianie i umieranie

Moja edukacja toczyła się w naturalny sposób, punkt po punkcie, każdy fragment prawdy rozwijał się nieuchronnie w następny. Kiedy już poznałam dwie największe siły wszechświata, obie we władaniu Boga, zobaczyłam, w jaki sposób oddziałują one na nas fizycznie. Wiedziałam już, że duch i umysł mają ogromny wpływ na ciało, a teraz przekonałam się, że naprawdę mamy zdolność oddziaływania na własne zdrowie. Dusza każdego z nas może dać ciału siłę do odparcia choroby albo — jeśli choroba już się rozwinęła — do uzdrowienia. Dusza panuje nad umysłem, a umysł nad ciałem. Gdy zastanawiałam się nad tym, zawsze przypominały mi się słowa: *Albowiem jak On ciebie waży w myśli swej, tak ty waż pokarm Jego* (Przypowieści Salomonowe, 23:7)*.

* Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii (*Biblia święta, to jest całe Pismo święte Starego i Nowego Testamentu*, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1950).

Nasze myśli mają zdolność przyciągania pozytywnej i negatywnej energii, która się gromadzi wokół nas. Jeśli stale przyciągają energię negatywną, może to doprowadzić do osłabienia sił obronnych ciała. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy nasze negatywne myśli dotyczą nas samych.

Najbardziej skupiamy się na własnym „ja”, kiedy popadamy w depresję. Nic tak nie podkopuje sił i zdrowia, jak długotrwałe przygnębienie. Ale gdy uczynimy wysiłek, by oderwać się od siebie samych, i skoncentrujemy się na potrzebach innych ludzi, zaczniemy powracać do zdrowia. Służenie innym jest lekarstwem zarówno dla ducha, jak i ciała.

Uzdrowianie wypływa z nas samych, z naszego wnętrza — to dusza uzdrawia ciało. Lekarz może przeprowadzić operację, medykamenty stworzą warunki sprzyjające wyleczeniu, ale samo wyzdrowienie zależy od duszy. Ciało bez jej udziału nie może być uzdrowione. Nasze komórki zostały tak zaprojektowane, że mogą nieskończenie długo dostarczać nam sił witalnych. Początkowo same się odradzały, nów zastępowały stare lub zniszczone i życie mogło trwać bez końca. Ale wydarzyło się coś, co to odmieniło; ni pokazano mi dokładnie, co to było, zrozumiałam tylko że do Ogrodu Rajskiego przedostała się śmierć. Rajski Ogród naprawdę istniał i właśnie decyzje, jakie tam zapadły, sprawiły, że nieśmiertelność na ziemi stała się niemożliwa.

Jednak choć nasze ciała muszą umrzeć, nadal je w nas moc, wspomagana wiarą i pozytywną energią zdolna zmieniać nasze komórki tak, byśmy ozdrowieli — jeśli tak się ma stać. Musimy bowiem pamiętać, że nasze uzdrowienie zawsze zależy od woli boskiej

Ukazano mi, jak wiele moich chorób było wynikiem depresji lub odczuwanego przeze mnie braku miłości. Zobaczyłam, że często pozwalałam sobie na negatywne westchnienia w rodzaju: „och, jak mnie boli”, „nikt mnie nie kocha”, „patrzcie, jak ja cierpię”, „nie mogę tego znieść” itp. Spostrzegłam, że w każdym takim zawołaniu czy westchnieniu przewijało się ciągle „ja” lub „mnie”. Zrozumiałam, do jakiego stopnia byłam w sobie wpatrzona. Przypisując sobie te wszystkie negatywne stany i nazywając je moimi, dopuściłam je do siebie i przyjąłam za swoje. Nigdy przedtem o tym nie myślałam, ale teraz ujrzałam jasno, w jak dużym stopniu sama jestem odpowiedzialna za choroby, które mnie dotknęły.

Pozytywny stosunek do samego siebie to początek powrotu do zdrowia. Gdy tylko rozpozna się

chorobę, trzeba zacząć myśleć o wyzdrowieniu. Terapię mentalną należy wzmocnić słowami, zwerbalizować ją. To pobudza siły wokół nas, które zaczynają działać w kierunku uzdrawiania. Najlepiej jest dokonywać takiej werbalizacji w modlitwie. Jeśli Bóg uzna to za słuszne, będziemy uzdrowieni — On sam dopomoże nam wtedy w dochodzeniu do zdrowia.

Nie powinniśmy negocjować istnienia choroby czy gnębiących nas problemów, mamy jedynie nie dopuścić do tego, by wzięły górę nad danym nam przez Boga prawem do ich pokonywania. Powinniśmy kierować się wiarą, nie zaś tylko tym, co potwierdzi zmysł wzroku. Wzrok związany jest z percepcją, z analizowaniem, wiarą natomiast rządzi dusza. Podobnie jak to się dzieje z innymi umiejętnościami, wiarę również można rozwinąć przez ćwiczenie. Gdy nauczymy się korzystać z tego, co mamy, dostaniemy więcej. To nasze duchowe prawo.

Z rozwijaniem wiary jest podobnie jak z zasiewami. Nawet jeśli część ziarna padnie na miedzę, i tak zbierzemy jakiś plon. Każdy najdrobniejszy nawet przejaw wiary przyniesie nam błogosławieństwo. Im większej nabierzemy w tym wprawy (a tak się stanie, jeśli będziemy ponawiali próby), tym większy zbierzemy plon naszej wiary. Wszystko się odradza. To również prawo duchowe.

Zaczynałam prawdziwie rozumieć władzę duszy nad ciałem, poznawać obszary jej działania — do tej pory mi nie znane. Oczywiście wiedziałam, że mój rozum kreuje myśli, ciało wykonuje nakazane przez umysł czynności, ale rola duszy była dla mnie zagadką. Teraz zrozumiałam, że dusza funkcjonuje nawet wtedy, gdy umysł w ogóle tego nie rejestruje. To ona kontaktuje się z Bogiem, jest receptorem, który przyjmuje od niego wiedzę i intuicję. Pojawia się w naszych ciałach jako tunel wypełniony świetlistą jasnością — jest to energia dająca ciału moc i życie. Światłość ta może przygasać, a dusza słabnąć za sprawą negatywnych doznań, takich jak brak miłości, doświadczenie przemocy lub gwałtu. Gdy słabnie dusza, słabnie też ciało. Niekoniecznie oznacza to chorobę, częściej podatność, brak odporności — trwające dopóty, dopóki dusza nie nabierze znów mocy. Możemy sami wzmacniać swoje dusze poprzez służbę innym, wiarę w Boga czy po prostu przez otwarcie się, dzięki pozytywnym myślom, na pozytywną energię. Źródłem owej energii jest Bóg, ale musimy dostroić się do Niego. Musimy uznać boską potęgę, jeśli chcemy cieszyć się jej pomocą.

Ku swemu zdumieniu ujrzałam, że większość z nas sama wybiera choroby, na które zapada, nawet choroby śmiertelne. Nie zawsze wyzdrowienie następuje od razu, czasem nie następuje wcale, a to dlatego, że jest nam to potrzebne dla naszego rozwoju. Wszystko, czego doświadczamy, służy naszemu dobru, również te przeżycia, które uznajemy za negatywne, pomagają doskonalić nasze dusze. Ból, jaki cierpimy na ziemi, jest jedynie chwilą, ułamkiem sekundy z perspektywy świata duchowego.

Śmierć także przyczynia się do naszego rozwoju. Jeśli na przykład ktoś umiera na raka, często doświadczają długotrwałych cierpień, które dają mu — nieosiągalną w inny sposób — możliwość duchowego rozwoju. Wiedziałam, że moja matka umarła na raka, i zrozumiałam, że pod koniec życia nawiązała z innymi członkami rodziny kontakt, jakiego nigdy przedtem nie miała. Stosunki między nimi polepszyły się, wyklarowały. Przez swoją śmierć dojrzała duchowo.

Niektórzy ludzie wybierają taki rodzaj śmierci, który w jakiś sposób pomaga innym. Ktoś może na przykład wybrać śmierć w wypadku drogowym, pod kołami samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę. Może to nam się wydać straszne, jednak dusza tego człowieka wiedziała, że w ten sposób oszczędza kierowcy późniejszych, jeszcze gorszych przeżyć. Tydzień później byłby znowu pijany i potrafiłby grupę nastolatków, okaleczając ich lub raniąc, ale zapobiegło temu uwięzienie go za pozbawienie życia kogoś, kto wypełnił już swoją misję na ziemi. Młodym ludziom zostało oszczędzone zbędne cierpienie, dla kierowcy natomiast rozpoczęło się kształcące doświadczenie, sprzyjające jego rozwojowi.

Udział przypadku w naszym ziemskim życiu jest znacznie skromniejszy, niż nam się wydaje. Naszymi decyzjami i wieloma doświadczeniami, które uważamy za najzupełniej przypadkowe, kierują ścieżki, które sobie wybraliśmy, zanim przyszło nam żyć ziemskim życiem. Wszystko zdarza się w jakimś określonym celu. Nawet takie przeżycia jak rozwód, niespodziewane zwolnienie z pracy czy akt przemocy wzbogacają nas i przyczyniają się do naszego rozwoju. Doświadczenia te są bolesne, lecz pomagają nam dojrzewać. Jak powiedział Jezus podczas swej

ziemskiej wędrówki: *...albowiem muszą zgorzenia przyjść; wszakże biada człowiekowi onemu, przez którego przychodzi zgorzenie!* (Mateusz, 18:7).

Dlatego tak ważne było, bym przyjęła wszystkie doświadczenia jako pozytywne. Powinnam zaakceptować również niedobre rzeczy, które mnie dotknęły, i próbować przewycięzać ich skutki. Mogłabym przebaczyć swym nieprzyjaciołom, a nawet ich pokochać — i w ten sposób przekreślić ich złe oddziaływanie na mnie. Mogłabym poszukać dobrych myśli i łagodnych słów — ukołoby to moją duszę i pomogło innym ludziom. Przekonałam się, że mogę zacząć uzdrawiać siebie samą, najpierw duchowo, a potem emocjonalnie, mentalnie i fizycznie.

Dostrzegłam zło, poddając się jednemu z najgroźniejszych narzędzi szatana — strachowi i poczuciu winy. Powinnam była odciąć się od przeszłości. Jeśli złamałam któreś z praw lub zgrzeszyłam, powinnam odmienić swoje serce, przebaczyć sobie i iść dalej. Jeśli zraniłam jakichś ludzi, powinnam szukać u nich przebaczenia. Jeśli zniszczyłam własną duszę, powinnam zbliżyć się do Boga, by poczuć znów jego miłość. Skrucha może okazać się łatwa, jeśli tak postąpimy.

Jeśli upadniemy, powinniśmy wstać, otrzepać się i iść dalej. Choćbyśmy upadali milion razy, wciąż powinniśmy wstawać i znów ruszać naprzód; bardziej się wtedy doskonalimy, niż nam się wydaje. W świecie duchowym grzechy postrzegane są inaczej niż tu, na ziemi. Wszystko, czego doświadczamy, może być pozytywne. Wszystkie doświadczenia czegoś nas uczą.

Nigdy nie powinniśmy rozważać samobójstwa. Ten akt sprawi, że pozbawimy się możliwości dalszego rozwoju podczas pobytu na ziemi. Widząc potem stracone możliwości, będziemy odczuwać wielki żal i ból. Trzeba o tym pamiętać, chociaż Bóg ocenia każdą duszę i srogość prób, jakim jest poddawana. Trzeba szukać nadziei choćby w jednym pozytywnym czynie — wówczas możesz zacząć dostrzegać promień światła, którego przedtem nie udało ci się zobaczyć. Rozpacz nigdy nie będzie usprawiedliwiona, ponieważ nie jest potrzebna. Jesteśmy tu po to, by się uczyć, podejmować próby i błędzić. Nie musimy sami siebie osądzać, powinniśmy jedynie uczyć się życia krok po kroku, nie zwracając uwagi na to, jak inni nas oceniają, nie przykładając ich miary do siebie. Powinniśmy umieć sobie przebaczać i być wdzięczni za wszystko, co sprzyja naszemu rozwojowi. Pewnego dnia okaże się, że najtrudniejsze wyzwania najwięcej nas nauczyły.

Ponieważ zrozumiałam, że każdy akt twórczy ma swój początek w myślach, pojęłam, że grzech, poczucie winy, rozpacz, nadziei i miłości również powstają w nas samych. Sami tworzymy swoją spiralę rozpacz, tak jak sami tworzymy trampoliny szczęścia i osiągnięć. Nasze myśli mają nadzwyczajną moc.

Jesteśmy jak raczkujące dzieci, próbujące nauczyć się robić właściwy użytek z tkwiących w nas sił. To potężne siły, rządzone przez prawa, które bronią nas przed nami samymi. Jeśli będziemy się rozwijać szukając wokół siebie pozytywów, prawa te będą nam ujawnione. Będzie nam dane wszystko, do czego przyjęcia jesteśmy przygotowani.

Przy krosnach i w bibliotece

Dzięki zrozumieniu tego wszystkiego mogłam lepiej poznać Zbawiciela i zbliżyć się do Niego. Pamięć o tym będzie mi zawsze bardzo droga. Pan troszczył się niezmiernie o moje uczucia, nie chciał mnie dotknąć. Ponieważ znał moją zdolność pojmowania, przygotowywał mnie starannie do wchłonięcia całej wiedzy, której poszukiwałam. W świecie duchowym nikt nie jest narażony na uczucie dyskomfortu przez konieczność robienia czy akceptowania czegoś, na co nie jest przygotowany.

Nigdy nie zapomnę Jego poczucia humoru — na ziemi nigdy nie spotkałam się z taką błyskotliwością. Jego dowcip był niedościgniony. Przepęłniała Go dobra wola, a Jego obecność wносиła wdzięk i łagodność. Wiedziałam, że jest Człowiekiem doskonałym. Poznałam Jego duszę, Jego uczucia, Jego troskę o mnie. Wyczuwałam łączące nas pokrewieństwo, wiedziałam, że jesteśmy rodziną. Był dla mnie jak ojciec i jednocześnie starszy brat. Był mi bardzo bliski, ale wyczuwało się Jego autorytet. Był dobry i delikatny, lecz także odpowiedzialny. Nie miałam wątpliwości, że nigdy nie nadużyje swojej władzy.

Jezus uśmiechnął się do mnie z aprobatą i otoczony jasnością zwrócił się w lewą stronę przedstawiając dwom kobietom, które akurat się pojawiły. Wkrótce ukazała się za nimi jeszcze

trzecia, ale zatrzymała się tylko na chwilę, by się przywitać. Jezus polecił dwom pierwszym kobietom, aby mi towarzyszyły, a ja wyczułam, że są szczęśliwe mogąc ze mną przebywać. Kiedy popatrzyłam na nie, wydały mi się znajome — to były moje przyjaciółki! Były moimi najbliższymi przyjaciółkami, jeszcze zanim zesłam na ziemię. Ich radość, że się znów spotkałyśmy, była nie mniejsza od mojej. Jezus zdawał się szeptać do mojej duszy: „Idź nauczyć się pewnych rzeczy”. Zrozumiałam, że mogę zobaczyć i doświadczyć wszystkiego, czego zechcę. Bardzo byłam przejęta, że jeszcze tyle jest do poznania — znacznie więcej, niż myślałam. Gdy Zbawiciel zostawił nas same, moje przyjaciółki uściskały mnie z miłością. Miłość była tu wszechobecna, każdy ją miał w sobie. I każdy był szczęśliwy.

Pamięć naszej wędrówki została mi częściowo odjęta. Pamiętam, że zabrano mnie do dużego pokoju, w którym pracowali jacyś ludzie, ale nie pamiętam, jak się tam dostałyśmy ani jak budynek wyglądał z zewnątrz. Był to piękny pokój. Jego ściany wykonane były z materiału przypominającego marmur tak cienki, że przepuszczał światło, miejscami nawet można było widzieć, co jest na zewnątrz. Robiło to wielkie wrażenie.

Kiedy podeszłyśmy bliżej do znajdujących się w pokoju ludzi, spostrzegłam, że pracują przy dużych krosnach o zabytkowym wyglądzie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to „takie archaiczne” tkac ręcznie w świecie duchowym. Przy krosnach stało wiele istot duchowych męskich i żeńskich, które z uśmiechem mnie pozdrowiły. Ucieszyły się na mój widok i odsunęły się od jednego z krosien, bym mogła lepiej widzieć. Podeszłam bliżej i dotknęłam kawałka zrobionej przez nich tkaniny. Wyglądała, jak gdyby była utkana ze szkła i cukru. Kiedy przysuwałam i odsuwałam od siebie materiał, mienił się i migotał, zupełnie jak żywy. Tkanina z jednej strony była nieprzezroczysta, ale gdy ją obróciłam na drugą stronę, wszystko przez nią widziałam. Oczywiście musiało to mieć jakiś sens — nieprzezroczystość z jednej strony i przejrzystość z drugiej — ale nie dowiedziałam się, jaki. Tkacze wyjaśnili mi tylko, że materiał przeznaczony jest na ubrania dla tych, którzy ze świata ziemskiego wstępują w świat duchowy. Widać było, że są zadowoleni ze swego dzieła, cieszyła ich też moja wdzięczność za pokazanie mi tego wszystkiego.

Potem przeszłyśmy do innych pomieszczeń, gdzie zobaczyłam kolejne zdumiewające rzeczy i innych wspaniałych ludzi — ale nie pozwolono mi zachować w pamięci wielu szczegółów. Miałam wrażenie, że wędrowałyśmy przez całe dni, a może tygodnie, bez najmniejszego zmęczenia. Byłam zaskoczona, jak wiele spotkanych tam przeze mnie osób lubiło pracę własnych rąk; czerpali satysfakcję z wykonywania rzeczy przydatnych dla innych. Widziałam dużą maszynę podobną do komputera, ale znacznie większą i bardziej skomplikowaną. Zatrudnieni przy niej ludzie również pokazali mi, co robią. Jeszcze raz uprzytomniłam sobie, że wszystkie ważne rzeczy najpierw stwarzane są w sferze ducha, a dopiero potem — w materii.

Zaprowadzono mnie do następnej dużej sali, podobnej do biblioteki. Wprawdzie nigdzie nie było widać książek, ale mimo to wiedziałam, że znalazłam się w składnicy wiedzy. Spostrzegłam, że do głowy przychodzą mi różne pomysły i że zaczyna wypełniać mnie wiedza. Tak jak wcześniej, w obecności Chrystusa, samo zatrzymanie myśli na jednym temacie wystarczałoby zaraz spływała na mnie cała wiedza dotycząca tego przedmiotu. Mogłam dowiedzieć się wszystkiego o każdym żyjącym kiedykolwiek na ziemi lub w świecie duchowym — z najdrobniejszymi szczegółami.

Odkrywana przede mną wiedza była podawana w taki sposób, że pojmowałam nawet najbardziej skomplikowane sprawy. Rozumiałam nie tylko to, co ludzie robili, ale także dlaczego to robili i jaki wpływ ich działanie miało na innych oraz na otaczającą ich rzeczywistość. Każde zagadnienie widziałam ze wszystkich punktów widzenia, z uwzględnieniem każdego możliwego odbioru. Wszystko to składało się na całkowity obraz postaci, zdarzenia lub prawa, co na ziemi byłoby nie do osiągnięcia.

Było to coś więcej niż proces myślowy. Mogłam również odczuwać to samo, co czuli inni ludzie. Rozumiałam ich ból, radość, podniecenie, ponieważ mogłam je z nimi przeżywać. Jakaś część tej wiedzy została mi potem odjęta, ale nie cała.

Zapragnęłam doświadczyć jeszcze czegoś więcej w tym niewiarygodnym, wspaniałym świecie. Moje przewodniczki dalej ochoczo mi towarzyszyły. Ich największą radością było sprawiać mi radość. Wyprowadziły mnie na zewnątrz, do ogrodu.

Ogród

Kiedy wyszliśmy, ujrzałam góry, malownicze doliny i wijące się w oddali rzeki. Moje towarzyski odeszły, przypuszczalnie dlatego, by niczyja obecność nie zakłócała przeżycia, jakim było chłonięcie piękna tego ogrodu. Przez chwilę chodziłam po trawie — była soczysta, chłodna, o intensywnej zieleni, wprost czułam pod stopami, że żyje. Ale największe wrażenie uczyniły na mnie niesamowite kolory roślin i kwiatów — nigdy nie widywałam podobnych na ziemi.

Padając na jakąś roślinę światło odbijało się od niej w jednym z tysięcy odcieni. Kwiaty promieniowały tak żywymi i świetlistymi kolorami, że sprawiały wrażenie niematerialnych. Każda roślina wysyłała bardzo intensywne światło i trudno było dostrzec jej kontury. Wydawało się, że każda, nawet najmniejsza część rośliny posiada własne życie i swą własną inteligencję. Części te mogły w każdej chwili, łącząc się z innymi elementami, tworzyć nowe żywe istoty. Element będący częścią kwiatu może być później fragmentem czegoś innego — nadal jednak zachowując własne życie. Twory te nie posiadają wprawdzie duszy takiej jak nasza, ale mają inteligencję i strukturę wewnętrzną poddającą się woli Boga i prawom natury. Wszystko to staje się zrozumiałe i oczywiste, gdy widzi się sam proces tworzenia.

W pobliżu przepływała piękna rzeka, która natychmiast przyciągnęła moją uwagę. Swoje przezyste wody czerpała z wielkiego wodospadu i zasilala nimi jeziorko. Woda falowała i mieniła się przejrzystością — ona też żyła.

Każda kropla spadająca z wodospadu miała swoje życie i określony cel. Wokół rozchodziła się przepiękna melodia, która wypełniała cały ogród. Melodia ta unosiła się z wody, każda kropla brzmiała swoim własnym tonem, a wszystkie tony mieszały się i łączyły z innymi dźwiękami, nabierając siły. Woda sławiła w ten sposób Pana za swoje życie i radość. Otaczająca mnie muzyka zdawała się nieskończenie przewyższać możliwości ziemskich kompozytorów. W porównaniu z nią nasze najlepsze kompozycje mogły się wydawać najwyżej dziecięcą grą na blaszanej trąbce. Nie jesteśmy w stanie pojąć i ogarnąć zasięgu i potęgi tamtej muzyki, nie mówiąc już o stworzeniu podobnej. Kiedy zbliżyłam się do wody, przyszło mi na myśl, że być może to owa „woda żywa”, o której wspomina się w Piśmie świętym, i zapragnęłam się w niej zanurzyć.

Podchodząc do wody, zauważyłam różę wspanialszą od innych kwiatów, przystanąłam więc, by lepiej się jej przyjrzeć. Była tak piękna, że aż zapierało dech w piersiach. Kołysała się łagodnie w takt dyskretnej muzyki i na swoją własną nutę śpiewem chwaliła Pana. Uświadomiłam sobie, że widzę, jak róża rośnie. Gdy rozwinęła się na moich oczach, poczułam wzruszenie i zapragnęłam doświadczyć jej życia, wnikać w nią, poczuć jej duszę. Gdy tylko to pomyślałam, moje pole widzenia nagle zawężyło się, co pozwoliło mi wnikać w głąb kwiatu. To było coś więcej niż tylko wrażenie wzrokowe. Wokół siebie wyczuwałam obecność róży, jakbym rzeczywiście była w środku niej i stanowiła jej część. Czułam, jak się kołysze, poruszana muzyką innych kwiatów, jak tworzy swoją własną melodię idealnie zestroszoną z melodią tysięcy pozostałych róż, które dołączyły do niej. Zrozumiałam, że muzyka mojej róży wychodzi ze wszystkich jej części, że płatki wydają swoje własne, odrębne tony i że wszystko to razem jest jedną wielką pieśnią radości. Poczulałam uniesienie i wszechogarniającą miłość. W roślinach i w sobie samej czułam Boga, wlewał we mnie swoją miłość. Stanowiliśmy jedność!

Nigdy nie zapomnę róży, którą się stałam. Już samo to doznanie, choć stanowiące zaledwie przeblask wyższej radości dostępnej w świecie duchowym, było tak wspaniałe, że zawsze przechowywać je będę w swej pamięci.

Komitet powitalny

Do ogrodu weszła grupa duchowych istot. Wiele z nich ubranych było w miękkie szaty w pastelowych kolorach, oznaczających prawdopodobnie miejsce pochodzenia. Otoczyli mnie kołem sprawiając wrażenie, jakby przybyli tu z okazji otrzymania przeze mnie dyplomu uniwersyteckiego. Umarłam (lub raczej wkroczyłam w nowy etap życia), a oni zebrali się, by mnie powitać. Ich twarze jaśniały radością, jakby patrzyli na dziecko, które doświadczyło właśnie po raz pierwszy

czegoś niebywale wspaniałego. Uświadomiłam sobie, że pamiętam ich sprzed swego ziemskiego życia, więc podbiegłam do nich, by każdego po kolei uściskać i ucałować. Moi przewodnicy mnisi również tu byli.

Kiedy wyczułam ich dusze, zrozumiałam, że ich obecność miała mnie wspierać. Moja eskorta wyjaśniła mi, że umarłam przedwcześnie i że w rzeczywistości jestem świadkiem tego, co będzie mi dane, gdy wrócę tu we właściwym czasie. Wszyscy byli szczęśliwi, widząc mnie i mogąc wspierać, wiedzieli jednak, że na razie muszę stąd odejść. Potem wytłumaczyli mi, czym jest śmierć.

Gdy „umieramy”, doświadczamy tylko przejścia w inny stan. Nasze dusze opuszczają ciało i przenoszą się do sfery duchowej. Jeśli śmierć następuje gwałtownie, dusza szybko opuszcza ciało, czasem nawet jeszcze przed śmiercią. Jeśli ktoś ginie w wypadku lub w pożarze, jego dusza może być zabrana wcześniej, zanim ciało dozna zbyt wielkiego bólu. Przez pewien czas może ono jeszcze sprawiać wrażenie żywego, ale nie ma już w nim duszy, która je opuściła i zaznaje spokoju.

W momencie śmierci mamy przed sobą dwie możliwości — zostać na ziemi, dopóki nasze ciało nie zostanie pogrzebane, lub odejść od razu, tak jak ja, wznosząc się do poziomu, do którego dojrzała nasza dusza. Większość dusz decyduje się zostać jeszcze przez jakiś czas na ziemi, by pocieszyć swoich najbliższych; ci, co pozostają, zazwyczaj cierpią większy ból niż ci, co odchodzą. Powiedziano mi, że swoimi modlitwami możemy pomóc zarówno istotom duchowym, jak i ludziom pozostającym na ziemi. Jeśli więc istnieją podstawy do obaw o duszę osoby, która właśnie zmarła, powinniśmy często wstawiać się za nią do Boga.

Ważne jest też, by zdobyć jak największą wiedzę na temat swojej duszy jeszcze wtedy, gdy przebywa ona w ciele. Im więcej będziemy o niej wiedzieli podczas swego ziemskiego bytowania, tym szybciej i pełniej będzie się potem rozwijać. Z powodu niedostatku wiedzy lub wiary niektóre dusze stają się więźniami na ziemi. Ci, którzy zmarli jako ateści, lub ci, których związek z ziemią naznaczony jest chciwością, cielesnymi zachciankami czy pożądaniem innych przyziemnych rzeczy, mogą mieć trudności w odejściu. Często brakuje im wiary lub siły, by sięgnąć po energię i światło, które pcha nas w kierunku Boga. Dusze te pozostają na ziemi tak długo, aż uznają potęgę, jaka ich otacza — wtedy dopiero mogą uwolnić się od świata. Kiedy znajdowałam się w czarnej masie niosącej mnie ku światłu, wyczuwałam obecność takich ociągających się dusz. Mogli przebywać tam dowolnie długo, poddając się uzdrawiającemu wpływowi miłości, aż w końcu zechcą iść dalej, by poddać się jeszcze większej miłości, jaką daje bliskość Boga.

Najważniejszym elementem tej wiedzy jest poznanie Jezusa Chrystusa. Powiedziano mi, że jest On bramą, którą wszyscy przestąpimy, jedyną bramą. Czy poznamy Go tu, na ziemi, czy też już jako bezcielesne dusze, w końcu musimy Go przyjąć i ulec Jego miłości. Moich przyjaciół w ogrodzie również przepelniała miłość. Wiedzieli, że na razie nie chcę wracać, że chcę zobaczyć coś jeszcze i chcąc sprawić mi przyjemność, pokazali mi znacznie, znacznie więcej.

Inne światy

Moja pamięć sięgnęła jeszcze dalej niż dotychczas, poza stworzenie świata, do minionych wieczności. Przypomniałam sobie, że Bóg stworzył wiele światów, galaktyk i sfer, chciałam je więc zobaczyć. Gdy tylko pojawiło się we mnie pragnienie, moje myśli stały się napędem, który wyniósł mnie z ogrodu. Towarzyszyły mi teraz dwie inne duchowe istoty. Nasza trójka uniosła się w górę i pozęglowała w czarną przestrzeń.

Gdy prędkość lotu się wzmogła, ogarnęła mnie wielka radość. Mogłam robić, co chciałam, mogłam znaleźć się w każdym miejscu, w jakim tylko zapragnęłam, mogłam lecieć szybko, niewiarygodnie szybko — albo powoli. Wolność urzekła mnie. Rozległa przestrzeń, w którą wniknęłam, nie była pusta, przesycano ją światłem i miłością — znak obecności Ducha Świętego. Usłyszałam łagodne, miłe dźwięki, układające się w melodię, która wypełniała całą otaczającą mnie przestrzeń — melodię wielkiej kosmicznej pieśni.

Muzyka ta kołysała mnie, sprawiając, że poczułam się jeszcze szczęśliwsza. Jej dźwięki wytwarzały łagodne wibracje; gdy dostałam się w ich zasięg, poczułam ich uzdrawiającą moc; były niczym balsam niosący miłość, która leczy złamane dusze. Od swoich towarzyszy dowiedziałam się jednak,

że nie każda muzyka przynosi uzdrowienie — niektóra może wywoływać w nas negatywne reakcje uczuciowe. Zrozumiałam, że podczas mego pobytu na ziemi posługiwał się tymi negatywnymi muzycznymi tonami szatan, przygotowując mnie o chorobę ciała i umysłu.

Pewne szczegóły moich późniejszych doznań zostały wymazane, niemniej wiele wrażeń pozostało. Wydaje mi się, że moja podróż trwała wiele tygodni czy może nawet miesięcy. Zwiedzałam podczas niej miejsca, które stworzył Bóg. Przez cały czas czułam krzepiącą obecność Jego miłości. Miałam wrażenie, że jestem „z powrotem” w swoim środowisku, i wszystko, co robię, jest naturalne. Zwiedziłam wiele innych światów — takich jak nasz, ale znacznie wspanialszych, zamieszkałych przez inteligentnych i kochających ludzi. Wyprawiłam się w niezmiernie dalekie strony, bez trudu przenosiłam się na inne galaktyki, zwiedzając należące do nich planety i spotykając inne dzieci Boga, które były naszymi duchowymi siostrami i braćmi. Wszystko to było przypomnieniem sobie tego, co znałam przedtem, powtórnym przebudzeniem. Wiedziałam, że kiedyś już tam byłam.

Później, kiedy powróciłam do swojego śmiertelnego ciała, poczułam się oszukana, gdy nie mogłam sobie przypomnieć szczegółowo owych przeżyć. Z upływem czasu zrozumiałam jednak, że było to konieczne dla mego własnego dobra. Gdybym zachowała w pamięci tamte cudowne, doskonałe światy, moje życie na ziemi byłoby pełne frustracji i nie wypełniłabym wyznaczonej mi przez Boga misji. Poczucie, że zostałam oszukana, zastąpiła głęboka wdzięczność. Bóg nie musiał mi przecież pokazywać wszystkich miejsc, które stworzył, ani zachować moich wspomnień o nich — a jednak to uczynił. Dzięki Niemu ujrzałam światy niewidoczne nawet przez największe teleskopy i poznałam przepelniającą je miłość.

Wybór ciała

Wróciłam do ogrodu, gdzie znów spotkałam swój poprzednią eskortę. Widziałam, jak rozwija się życie w światach, które zwiedziłam, jak ludzie pracują na tym, by upodobnić się do naszego Ojca, ciekawa więc byłam, w jaki sposób następuje nasz rozwój na ziemi

Moje towarzyszki, chcąc zaspokoić tę ciekawość zabrały mnie do miejsca, gdzie wiele dusz przygotowywało się do życia doczesnego. Były to tylko dorosłe dusze, przez cały czas nie spotkałam ani jednej duszy dziecka. Zobaczyłam, jak bardzo pragnęły zejść na ziemię. Przypatrywały się naszemu życiu jak lekcji, która mogła je wiele nauczyć oraz rozwinąć w nich cechy, których im brakowało. Powiedziano mi, wszyscy pragnęliśmy tu przyjść i że w gruncie rzeczy sami wybraliśmy wiele ze swoich słabości oraz trudnych sytuacji życiowych, by rozwijać się przez walkę z nimi. Czasami słabość zostaje nam dana dla naszego dobra. Pan daje nam także uzdolnienia i talenty, według swojego uznania. Nigdy więc nie powinniśmy porównywać własnych i cudzych talentów czy słabości. Każdy z nas ma to, czego mu potrzeba; jest niepowtarzalny. Uzdolnienia czy słabości duchowe nie są istotne.

Nieoczekiwanie przede mną i pode mną otwarła się przestrzeń, i jak przez okno zobaczyłam ziemię. Ujrzałam zarówno świat fizyczny, jak i duchowy. Zrozumiałam wtedy, że niektóre szlachetne dusze nie wybrały życia ziemskiego, lecz postanowiły pozostać z Bogiem i działać w roli aniołów-stróżów ludzi na ziemi. Dowiedziałam się też, że istnieją jeszcze inni aniołowie — „aniołowie walczący” — ich celem jest prowadzenie za nas walki z szatanem i jego poplecznikami. Mimo że każdego z nas otaczają dusze, które mają nas strzec i chronić, w pewnych sytuacjach muszą nas bronić właśnie „aniołowie walczący”. Dotrzeć do nich możemy przez modlitwę. Są to potężnie zbudowani mężczyźni i zarazem wspaniałe dusze. Patrząc na nich zrozumiałam, że próżno im się przeciwstawiać. Ubrani jak wojownicy, mieli osłonięte głowy i broje, poruszali się też szybciej niż inne anioły. Ale najbardziej wyróżniała ich aura pewności i zaufania do własnych możliwości, jaką wokół siebie roztaczali. Było oczywiste, że nie ugną się przed żadnym złem. Kiedy nagle ruszyli w jakiejś misji (jakiej — tego mi nie ujawniono), wydawali się bardzo nią przejęci; zdawali sobie sprawę z wagi swego posłannictwa i wiedzieli, że nie mogą powrócić, dopóki go nie wypełnią.

Szatan chce nami zawładnąć i czasem, gdy koncentruje wszystkie swoje siły przeciwko komuś, osoba ta potrzebuje specjalnej ochrony. Nie może czytać w naszych myślach, potrafi jednak

odgadywać je z naszego wyglądu i zachowania. Uczucia powstające w duszy odbijają się na naszych twarzach, są też widoczne w otaczającej nas aurze. Widzi je Bóg, widzą aniołowie i widzi je też szatan. Potrafią je również zobaczyć ludzie o wielkiej wrażliwości żyjący na ziemi. Możemy bronić się przed tym kontrolując swoje myśli; i podporządkowując je naukom Chrystusa — wtedy będzie z nas promieniować Jego światło.

Gdy to zrozumiałam, znów ujrzałam dusze, które jeszcze nie zeszyły na ziemię. Zobaczyłam, jak niektóre z nich krążą nad głowami ludzi. Zobaczyłam, jak dusza pewnego mężczyzny próbuje połączyć dwoje ludzi na ziemi, mężczyznę i kobietę — swoich przyszłych rodziców. Ale oni, nieświadomi tych zabiegów, bynajmniej nie ułatwiali jej zadania. Dusza przyciągała ich ku sobie, przemawiała do nich i próbowała namówić, by zostali razem. Do sprawy włączyły się także inne dusze, starając się doprowadzić do połączenia dwojga młodych.

W świecie duchowym wiążemy się z niektórymi duszami, które są nam szczególnie bliskie — jak siostry i bracia. Moje towarzyszkę wyjaśniły mi, że właśnie z tymi duszami umawiamy się na wspólny pobyt na ziemi — jako członkowie tej samej rodziny lub przyjaciele. Owa duchowa więź jest rezultatem wzajemnej miłości, jaka wytworzyła się między nami podczas wspólnego przebywania w wieczności. Przychodzimy na świat razem z innymi również dlatego, żeby wspólnie czegoś dokonać. Niektórzy z nas chcieli się ze sobą połączyć, by razem zmienić coś na ziemi, inni — by utrwalić to, co zostało już zrobione, i wytyczyć drogę swoim następcom. Byliśmy świadomi tego, że w życiu doczesnym będziemy na siebie wzajemnie oddziaływać oraz że zostaniemy wyposażeni przez rodziców w określone cechy fizyczne i behawioralne. Wiedzieliśmy o kodzie genetycznym zapisanym w naszych śmiertelnych ciałach i o cechach zewnętrznych, jakie będziemy mieli, ale informacja, że nasze wspomnienia będą zawarte w komórkach naszego nowego ciała, była dla mnie całkowitą nowością. Dowiedziałam się, że wszystkie myśli i doświadczenia życiowe zapisywane są w podświadomości, a także w każdej komórce, razem z kodem genetycznym. Dowiedziałam się też, że wspomnienia zapisane w naszych komórkach są przekazywane za pomocą kodu genetycznego naszym dzieciom. Owa pamięć, gromadzona od pokoleń, ujawnia się w cechach rodzinnych, takich jak na przykład skłonność do nałogów, kompleksy, odporność psychiczna itp. Dowiedziałam się, że nie mamy powtarzających się wcieleń na ziemi; kiedy wydaje się nam, że „pamiętamy” coś z poprzedniego życia, w istocie przemawiają w nas wspomnienia zawarte w komórkach.

Oprócz cech fizycznych zostaliśmy też wyposażeni w pewne przymioty duchowe potrzebne nam w wypełnianiu naszych misji — niektóre z nich zostały specjalnie zaplanowane jako szczególnie odpowiadające naszym potrzebom. Nasi rodzice również dysponowali określonymi przymiotami duchowymi — ich część nam przekazali, ale inne zdobywaliśmy sami w miarę dorastania. Zdobywamy je przez całe życie, i przez całe życie uczymy się, jak je spożytkować. Mamy wolny wybór: możemy je wykorzystać albo nie. Zawsze potrafimy pomóc samym sobie, chociaż nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Powinniśmy wejrzeć w siebie. Powinniśmy ufać we własne możliwości, a na pewno znajdziemy odpowiednie duchowe narzędzie, które nam w tym pomoże.

Po przyjrzeniu się duszom próbującym nakłonić tamtych dwoje młodych ludzi do spotkania, zwróciłam uwagę na inne, gotujące się do zejścia na ziemię. Jedna wyjątkowo zdolna i tryskająca życiem dusza mężczyzny wchodziła właśnie do macicy swej przyszłej matki. Postanowiła przyjść na świat jako człowiek upośledzony umysłowo. Była tym bardzo podekscytowana, ale i przekonana, że zarówno ona, jak i jej rodzice osiągną dzięki temu większy duchowy rozwój. Cała trójka była związana ze sobą i od dłuższego czasu planowała to spotkanie na ziemi. Za początek swego doczesnego życia dusza mężczyzny wybrała chwilę poranka. Bardzo jej zależało na doznaniu miłości śmiertelnych rodziców.

Dowiedziałam się, że dusze mogą zaplanować moment swojego wejścia w ciało matki na dowolnym etapie jej ciąży. Z chwilą gdy już się tam znajdują, rozpoczynają swoje doczesne życie. Przerwanie ciąży, jak mi powiedziano, jest zaprzeczeniem tego, co naturalne. Dusza, która wstąpiła już w ciało, cierpi wtedy odrzucenie i ból. Ale rozumie także kobietę decydującą się na przerwanie ciąży — wie, że na pewno nie podjęła tej decyzji tylko dla własnej wygody.

Ujrzałam wiele dusz, które przebywały na ziemi przez krótki czas, żyjąc tylko kilka godzin lub dni po urodzeniu. Były podniecone tak samo jak inne, wiedząc, że mają przed sobą cel do

spełnienia. Zrozumiałam, że ich ziemskie śmierci zostały zaplanowane jeszcze przed ich narodzeniem — tak samo jak śmierci nas wszystkich. Tym duszom niepotrzebny był już rozwój, jaki osiąga się po dłuższym życiu doczesnym, ale ich śmierć dostarczała rodzicom przeżyć, które mogły przyczynić się do ich rozwoju. Żal, jaki następuje po śmierci dziecka, jest wielki, lecz krótkotrwały. Kiedy łączymy się znowu, bólu już nie ma, a jedyne, co odczuwamy, to radość i uczucie bliskości.

Byłam zaskoczona, jak wiele decyzji i projektów podejmuje się z myślą o innych ludziach, dla ich dobra. Cokolwiek robimy, ma służyć rozwojowi duchowemu — wszystkie nasze doświadczenia, zdolności i ułomności. W świecie duchowym sprawy materialne są nieważne.

Każdemu z nas został przydzielony określony czas na dopełnienie ziemskiej edukacji. Niektóre dusze rodzą się tylko po to, by w pewien sposób doświadczyć innych, po czym szybko odejść z tego świata. Niektóre dożywają w ziemskim ciele późnego wieku, by osiągnąć wszystkie swoje cele i swoim istnieniem przysłużyć się innym, stwarzając im okazje stania się pożytecznymi. Odgrywają w naszym życiu rozmaite role — ale wszystkie one są tak zaplanowane, by stworzyć sytuacje i okoliczności, które pozwolą nam nauczyć się kochać. Jesteśmy poddawani próbom, byśmy mogli pokazać, jak wcielamy w życie najważniejsze z przykazań: „Kochaj bliźniego swego”. Podczas bytowania ziemskiego wszystkich nas jednoczy wspólny najwyższy cel — nauczyć się kochać bliźnich.

Zanim dobiegła końca scena ukazująca dusze gotujące się do życia na ziemi, jedna z nich zwróciła moją szczególną uwagę. Była to urocza i zachwycająca istota. Kipiała energią i rozsiewała wokół siebie radość, którą zarażała innych. Gdy obserwowałam ją urzeczona, poczułam znane mi już uczucie łączącej nas silnej więzi i miłości. Wspomnienie tamtej chwili zostało w większej części zablokowane, niemniej wiedziałam, że nigdy jej nie zapomnę. Nie ulegało wątpliwości, że gdziekolwiek ta dusza trafi, będzie czymś wyjątkowym aniołem.

Oglądając owe sceny z życia przedziemskiego, byłam poruszona pięknem promieniującym z każdej duszy. Wiedziałam, że musiałam już tam być przedtem, tak jak wszyscy inni ludzie, i że tak samo przepełniała mnie światłość i piękno. Pomyślałam sobie: gdyby każdy mógł zobaczyć samego siebie sprzed własnych urodzin, byłby zadziwiony własną mądrością i dobrocią. Ale nasze narodziny to sen i zapomnienie.

Pijany mężczyzna

Przychodzenie na świat trochę przypomina wybór szkoły i kierunku nauki. Każdy z nas znajduje się na innym poziomie rozwoju duchowego; na ziemi zajmujemy pozycję najbardziej odpowiadającą naszym duchowym potrzebom. Dlatego też nie wolno nam osądzać innych za ich błędy czy niedostatki — nasza ziemska wiedza jest na to zbyt niepełna, niedostateczna.

Jakby dla zobrazowania mi tej zasady niebo się rozstało, ukazując znów ziemię. Tym razem zobaczyłam skrzyżowanie ulic w dużym mieście. Ujrzałam tam leżącego na chodniku przed narożnym budynkiem kompletnie pijanego mężczyznę. Jedna z moich przewodniczek zapytała, co widzę.

— Jak to co? Pijanego włóczkę leżącego w błocie — odpowiedziałam, nie rozumiejąc, dlaczego kazano mi go oglądać.

Moje towarzyszkę odparły wtedy:

— Zaraz ci pokażemy, kto to jest naprawdę.

Gdy została mi ukazana jego dusza, zobaczyłam wspaniałego człowieka, pełnego światła. Z całego jego jestestwa emanowała miłość. Ta wspaniała istota zeszła na ziemię, by pomóc swemu przyjacielowi, z którym była duchowo związana.

Przyjaciel ten był znanym adwokatem, którego biuro znajdowało się kilka ulic dalej. Pijany mężczyzna, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, miał za zadanie przypominać mu o potrzebach innych ludzi — widok pijanego powinien stać się dla adwokata impulsem do szerszej działalności na rzecz tych, którzy potrzebują jego pomocy. Wiedziałam, że się spotkają i że adwokat dostrzeże w pijanym mężczyźnie człowieka — co sprawi, że zdziała dużo dobrego. Nigdy nie poznają na ziemi swych ról, mimo to jednak obaj spełnią swoją misję. Pijak poświęcił swój

ziemski pobyt dla dobra innych.

Wtedy przypomniałam sobie, że ja również spotykałam ludzi, którzy wydawali mi się znajomi. Już przy pierwszym spotkaniu miałam wrażenie, że natychmiast staliśmy się sobie bliscy, że się skądś znamy. Teraz rozumiałam, że znaleźli się na mojej drodze nieprzypadkowo.

Tymczasem moje towarzyszki mówiły dalej, odrywając mnie od tych myśli. Powiedziały, że ponieważ brakuje mi wiedzy, nie powinnam nigdy osądzać drugiego człowieka. Ci, którzy przechodzili obok pijanego leżącego na rogu, nie mogli widzieć jego szlachetnej duszy, osądzali go więc tylko na podstawie zewnętrznych oznak. Ja również zawiniłam podobnymi sądami, oceniając innych na podstawie ich zamożności lub uzewnętrznianych zdolności, nie mając pojęcia, jakie naprawdę jest ich życie i — co ważniejsze — jakie są ich dusze.

Przypomniały mi się słowa Pisma świętego: *Ponieważ biedni zawsze będą z wami, kiedykolwiek możecie, czyńcie im dobro*. Ale nadal dręczyło mnie pytanie, dlaczego w ogóle są biedni? Dlaczego Pan nie mógł obdarować wszystkich? Dlaczego nie mógł po prostu nakłonić tamtego adwokata, by podzielił się swoimi pieniędzmi z innymi? Przewodniczki znowu przerwały moje myśli mówiąc:

— Aniołowie są wśród was, tylko nie zdajecie sobie sprawy z ich obecności.

Brzmiało to dla mnie zagadkowo, wytłumaczyły mi więc, że wszyscy mamy swoje potrzeby, nie tylko biedni. Każdy z nas w świecie duchowym zobowiązał się pomagać innym, ale ociągamy się ze spełnieniem złożonych tak dawno obietnic. Pan Bóg zatem zsyła nam anioły, które nas dopingują i pomagają wywiązać się ze zobowiązań. Czasem pojawiają się wśród nas jako zwyczajni ludzie — ale towarzyszą nam częściej, niż mogłoby się wydawać.

Uświadomiłam sobie, że zupełnie nie rozumiałam — i nie doceniałam — pomocy, jaką zsyła nam Bóg. Pomaga nam na wszelkie możliwe sposoby, nie ingerując wszakże w naszą osobistą działalność i wolną wolę. To my sami musimy chcieć pomagać sobie nawzajem. Musimy nabrać przekonania, że biedni są tak samo godni szacunku, jak bogaci. Musimy zaakceptować wszystkich innych ludzi, nawet tych bardzo od nas odmiennych. Wszyscy są warci naszej miłości i dobroci. Nie mamy prawa być nietolerancyjni, niechętni czy „mieć wszystkiego dosyć”. Nie mamy prawa traktować innych z góry lub ich nienawidzić. Jedyne, co możemy wynieść z naszego życia na ziemi, to dobro, jakie wyświadczylimy innym. Nasze dobre uczynki i życzliwe słowa zwrócą się nam stokrotnie w przyszłym życiu. Swoją siłę odnajdziemy w miłości bliźniego.

Milczałyśmy przez chwilę, ja i moje towarzyszki. Pijany człowiek znikł z mego pola widzenia. Przepelniała mnie miłość i zrozumienie. Och, gdybym i ja mogła pomagać innym, jak ten pijany swojemu przyjacielowi. Och, gdybym mogła być błogosławieństwem dla innych! W mojej duszy odbijała się echem ostatnia prawda: „Swoją siłę odnajdziemy w miłości bliźniego”

Modlitwa

Wiedza, jaką mnie obdarzono na temat natury ludzkiej i wartości każdej duszy, napełniła mnie pokorą. Nie był to jednak jeszcze koniec mojej edukacji. Niebo znów się rozstało i zobaczyłam ziemię krążącą w przestrzeni. Ujrzałam wiele światła strzelających w górę. Niektóre były bardzo szerokie i biły w niebo jak wiązki promieni laserowych, inne przypominały światelka latarek kieszonkowych, a jeszcze inne zaledwie mrugały. Zdziwiłam się, kiedy mi powiedziano, że to modlitwy ludzi na ziemi.

Zobaczyłam anioły śpieszące na dół. Były doskonale zorganizowane, przelatywały od jednej osoby do drugiej, od modlitwy do modlitwy, przepelnione miłością i zadowoleniem. Pomagały nam z wielką radością, a już szczególnie się cieszyły, gdy ktoś modlił się żarliwie i szczerze. Najpierw zawsze odpowiadały na jaśniejsze, gorętsze modlitwy, potem po kolei na pozostałe, aż do ostatniej. Zauważyłam, że modlitwy nieszczerze, powtarzane bezmyślnie, świeciły bardzo słabo albo nawet wcale, i często były prawie niezauważalne.

Powiedziano mi, że wszystkie modlitwy zawierające prośby o pomoc są wysłuchiwane i zawsze się na nie odpowiada. Kiedy jesteśmy w wielkiej potrzebie lub modlimy się za innych, światło promieniuje wprost z nas i jest od razu widoczne. Powiedziano mi też, że nie ma gorętszej modlitwy niż matki o swoje dziecko. Są to modlitwy o największej mocy, ponieważ są najczystsze i najbardziej szczerze. Jednakże wszyscy jesteśmy w stanie dotrzeć do Boga swoją modlitwą.

Gdy wznosimy błagalną modlitwę, musimy pozwolić jej się wzbić, musimy wierzyć, że zostanie wysłuchana. Bóg zna nasze potrzeby przez cały czas, ale po prostu czeka na nasze zaproszenie, by nam pomóc. Musimy Mu ufać. Jeśli nasze prośby i pragnienia będą szczerze, zostaniemy wysłuchani.

Nasze modlitwy za innych mają wielką moc, jednak mogą być wysłuchane tylko wtedy, kiedy nie naruszają niczyjej woli ani potrzeb. Bóg obiecał, że wolno nam będzie działać swobodnie, ale chce nam pomagać w każdy możliwy sposób. Jeśli wiara naszych przyjaciół jest słaba, nasza siła duchowa może ich podtrzymać. Jeśli są dotknięci chorobą, nasze modlitwy i wiara mogą im dodać sił potrzebnych do odzyskania zdrowia, chyba że ich choroba jest doświadczeniem zamierzonym dla ich rozwoju. Jeśli zbliża się ich śmierć, musimy zawsze pamiętać, by prosić o dokonanie się woli boskiej, gdyż w przeciwnym razie sprowadzimy frustrację na osobę mającą ułatwić im przejście do stanu duchowego. Mimo tych ograniczeń nasze możliwości pomocy innym przez modlitwę są ogromne. Możemy przynieść znacznie więcej dobra swojej rodzinie, przyjaciołom czy innym ludziom, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.

Wszystko to okazało się znacznie prostsze, niż mi się wydawało. Zawsze sądziłam, że modlić się trzeba godzinami. Myślałam, że należy się naprzykrzać Panu Bogu tak długo, aż wreszcie coś się zdarzy. Miałam swoją własną metodę. Zaczynałam od prośby o coś, co w moim mniemaniu było mi potrzebne. Potem uciekałam się do przekupstwa, a gdy i to zawodziło, zaczynałam się z Bogiem targować, ofiarowywałam jakieś nadzwyczajne akty posłuszeństwa lub poświęcenia, żeby zasłużyć w ten sposób na Jego błogosławieństwo. Następnie, zdesperowana, uderzałam w ton rozpacz albo wpadałam w histerię. Metoda ta przynosiła znacznie słabsze rezultaty, niż się spodziewałam. Teraz rozumiałam, że moje dotychczasowe modlitwy były okazywaniem zwątpienia, świadczyły o braku wiary w to, że Bóg zechce mnie wysłuchać. Wątpiłam w Jego sprawiedliwość i moc, a wątpliwości te wzniosły mur między mną i Bogiem.

Pan nie tylko słyszy nasze modlitwy, ale także zna nasze potrzeby dużo wcześniej niż my sami. On i jego aniołowie chętnie odpowiadają na nasze modlitwy, Bóg jednak może wejrzeć w naszą duchową przeszłość i przyszłość i wie, czego potrzebujemy na wieczność. W swej wielkiej miłości odpowiada na nasze modlitwy zgodnie z tą wieczną i wszechogarniającą perspektywą. Zrozumiałam, że zupełnie niepotrzebnie powtarzałam swoje prośby, jak gdyby Bóg nie mógł mnie zrozumieć. Potrzebna jest tylko wiara i cierpliwość.

Zrozumiałam też, jak ważne jest podziękowanie za to, co otrzymujemy. Prośmy w pokorze i przyjmujemy z wdzięcznością. Im bardziej jesteśmy wdzięczni Bogu za łaski, jakich nam udzielił, tym bardziej otwieramy się na dalsze dary. Jeśli otworzymy swoje serca i umysły na Jego błogosławieństwa, napelni nas nimi obficie. Przychodząc z pomocą potrzebującym, staniemy się podobni aniołom— nasze światło będzie mocno jaśnieć.

Rada starszych

Nadal byłam z moją eskortą w ogrodzie i gdy znów zaczęłam uświadamiać sobie, gdzie się znajduję, ziemia znikła z mego pola widzenia. Opuściliśmy ogród, by wejść do dużego budynku. Gdy znalazłam się w środku, urzekło mnie jego piękno. Każda linia, każdy kąt i szczegół był idealnym dopełnieniem całej struktury.

Wprowadzono mnie do wspaniale urządzonego pokoju. Zobaczyłam tam grupę mężczyzn siedzących za stołem w kształcie nerki, po jego dłuższej stronie. Stałam przed nimi, tak jak mnie podprowadzono, po wciętej stronie stołu. Uderzyło mnie natychmiast, że było tam dwunastu mężczyzn i ani jednej kobiety.

Na ziemi miałam umysł raczej niezależny, i moim czułym punktem była rola kobiety w świecie. Obstawałam przy równości i jednakowym traktowaniu kobiet i mężczyzn, uważałam bowiem, że kobiety mogą z powodzeniem współzawodniczyć z mężczyznami w zdecydowanej większości dziedzin. Mogłabym odnieść się nieprzychylnie do rady składającej się z samych mężczyzn, ale właśnie uczyłam się patrzeć z nowej perspektywy na odmienne role mężczyzn i kobiet. Zaczęłam już tę odmienną rozumieć wcześniej, kiedy przyglądałam się stworzeniu świata i zobaczyłam różnice między Adamem i Ewą. Adamowi wystarcza to, co miał w rajskim ogrodzie, natomiast

Ewa pragnęła czegoś więcej. Widziałam, jak rozpaczliwie chciała zostać matką, gotowa ryzykować życie, byleby to osiągnąć. Nie tyle „uległa pokusie”, co podjęła świadomą decyzję sprowokowania warunków niezbędnych do swojego rozwoju, i za jej namową Adam w końcu spróbował zakazanego owocu. Dzielać się jabłku uczynili ludzkość śmiertelną, ale dało nam to możliwość posiadania dzieci.

Bóg zawierzył Ewie, rozumiałam więc, że rola kobiety zawsze będzie jedyna w swoim rodzaju. Przez swoje macierzyństwo kobiety mają szczególny stosunek do Boga jako Stwórcy, i Bóg w pełni im ufa.

Zrozumiałam również, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony szatana. Na ziemi stosuje on tę samą metodę kuszenia, co w raju. Wiodąc kobiety na pokuszenie próbuje zniszczyć rodzinę a przez to i całą ludzkość. Ma dostęp do nich przez ich niepokoje, ich silne uczucia — te same uczucia, które targają Ewą, gdy Adamowi wystarczała całkowicie istniejąca sytuacja. Zrozumiałam, że szatan zawsze będzie próbował wkraczać między męża i żonę odsuwając jedno od drugiego, używając potęgi seksu i chciwości, by zburzyć ich dom. Wyrzuty sumienia poczucie winy i strach to również broń szatana, posługuje się nimi, by zniszczyć kobiety i zniweczyć ich nakreślony przez Boga cel życia na ziemi. A tylko szatan zdobędzie kobiety, mężczyźni natychmiast podążą za nimi.

Tak więc zaczęłam dostrzegać różnicę ról pełnionych przez mężczyzn i przez kobiety, rozumiałam też nieuchronność i piękno tych ról.

Przyjąwszy ten nowy punkt widzenia, nie zareagowałam wcale na to, że rada składała się z samych mężczyzn. Zaakceptowałam fakt, że oni mają swoje role do wypełnienia, a ja swoją. Czułam, że darzą mnie wielką miłością, więc spłynął na mnie spokój. Pochylili się ku sobie, by się naradzić, a potem jeden z nich przemówił do mnie. Powiedział, że umarłam przedwcześnie i muszę powrócić na ziemię, ponieważ czeka mnie tam misja do spełnienia. Zdawałam sobie sprawę, jak bardzo ważne jest, bym wróciła, jednak całym sercem byłam temu przeciwna. Tutaj był mój dom, i wydawało mi się, że cokolwiek ci mężczyźni mi powiedzą, i tak nie nakłonią mnie do odejścia. Znowu się naradzili i zapytali, czy chcę przyjrzeć się swemu życiu. Pytanie brzmiało niemal jak rozkaz. Zawahałam się — chyba nikt by nie chciał oglądać swego śmiertelnego życia w tym miejscu czystości i nieskażonej miłości. Ale oni powiedzieli, że to bardzo ważne dla mnie, więc się zgodziłam. Poczułam przy sobie obecność Zbawiciela i nabrałam odwagi.

Przed oczami pojawiło mi się moje życie w formie, którą można by określić jako bardzo precyzyjne hologramy, przesuujące się z nieprawdopodobną szybkością. Byłam zaskoczona, że przy takiej szybkości mogłam aż tyle zrozumieć. Ale moja obecna zdolność pojmowania znacznie przekraczała zdolność rozumienia wypadków mego życia w chwili, gdy się one zdarzały. Przeżywałam na nowo nie tylko to, co czułam podczas tych wszystkich zdarzeń, lecz również to, co czuli moi bliscy. Ich myśli i uczucia mnie dotyczące stały się moimi doznaniem. Zobaczyłam pewne rzeczy w całkiem nowym świetle. Ujrzałam rozczarowania, jakich przyczyniłam innym, i aż się kurczyłam, gdy wypełniały mnie ich uczucia zawodu, zmieszane z moim własnym poczuciem winy. Rozumiałam i odczuwałam ból, jaki sprawiałam innym. Zobaczyłam, ile przykrości sprawiałam swoją złością, i sama doświadczałam teraz tej przykrości. Serce mi się krajało, gdy zobaczyłam, jaką byłam egoistką. Jak mogłam być tak niefrasobliwa?

Nagle w środku tego bólu poczułam, że otacza mnie miłość całego zgromadzenia. Przyglądali się memu życiu ze zrozumieniem i miłosierdziem. Wszystko, co mnie dotyczyło, zostało wzięte pod uwagę: to, jak zostałam wychowana, czego mnie uczono, ból, jaki zadawali mi inni, możliwości, jakie miałam i jakich nie miałam. Uświadomiłam sobie, że rada wcale mnie nie osądza. To ja sama siebie osądzałam. Ich miłość i miłosierdzie były bezgraniczne, a ich szacunek do mnie nie zmalał ani trochę. Byłam im szczególnie wdzięczna za ich miłość, kiedy przed moimi oczami przewinęła się następna faza mego życia.

Pokazano mi „efekt rozchodzenia się fali”, jak to określili. Zobaczyłam, jak często krzywdziłam ludzi i jak często potem oni tym samym odpłacali innym ludziom, wyrządzając im podobną krzywdę. Powstawał w ten sposób łańcuch ofiar, jak kamienie domina ułożone w koło: każdy przewracający się kamień potraça następnego, aż dochodzi do początku — do mnie, do sprawcy. Fale rozchodziły się i wracały. Skrzywdziłam dużo więcej osób, niż myślałam. Wywołany tym ból

zwielokrotnił się, aż stał się nie do zniesienia.

Wtedy podszedł do mnie Zbawiciel, pełen troski i miłości. Powiedział, że zbyt krytycznie siebie oceniam. „Jesteś dla siebie zbyt surowa” — rzekł, po czym pokazał mi odwrotną stronę efektu rozchodzenia się fal. Zobaczyłam siebie wyświadczającą komuś przysługę i znów ujrzałam, jak rozchodzą się fale. Przyjaciółka, której okazałam dobroć, była z kolei dobra dla swoich innych przyjaciółek, i tak tworzył się cały łańcuch. Zobaczyłam, ile radości i szczęścia mogą doświadczyć moi bliźni tylko z powodu jednego gestu z mojej strony. Czułam ich miłość, ich radość. Uderzyła mnie myśl, którą zaczęłam sobie powtarzać: „Liczy się tylko miłość. Liczy się tylko miłość, a miłość to radość!” Przypomniałam sobie Pismo święte, które mówi: *...Jam przyszedł, aby żywot miały i obficie miały* (Jan, 10:10), i moją duszę przepełniła ogromna radość.

Wszystko wydawało się takie proste., „Jeśli będziemy życzliwi, będziemy się radowali”. I nagle wymknęło mi się pytanie: „Dlaczego przedtem tego nie wiedziałam?” Odpowiedziano mi na to: „Złe doświadczenia są tak samo potrzebne w życiu na ziemi, jak dobre doświadczenia. Zanim poczujesz radość, musisz poczuć smutek”. Słowa te zapadły mi głęboko w serce, zmieniając na zawsze mój pogląd na przeciwności losu i trudności.

Teraz wszystkie moje doświadczenia nabrały nowego znaczenia. Uświadomiłam sobie, że w moim życiu nie było pomyłek. Każde doświadczenie przyczyniało się do mojego rozwoju, każde przeżywane nieszczęście pozwoliło mi lepiej rozumieć siebie samą. Zobaczyłam też, że rozwinęła się we mnie zdolność do niesienia pomocy innym. Wiele z moich doświadczeń było aranżowanych przez aniołów-stróżów. Niektóre z nich były smutne, inne radosne, ale wszystkie pomyślane po to, bym wzniosła się na wyższy poziom świadomości i wiedzy. Podczas trudniejszych przejść moi aniołowie-stróżowie zawsze trwali przy mnie, pomagając mi przez nie przebrnąć. Przyglądając się swemu życiu zauważyłam, że często popełniałam te same błędy, podejmowałam te same niesłuszne działania, aż w końcu nauczyłam się wyciągać właściwe wnioski. Zobaczyłam też, że im więcej wiedzy zdobywałam, tym większe możliwości otwierały się przede mną. Okazało się, że wiele rzeczy, których w moim mniemaniu dokonałam sama, osiągniętych zostało z Bożą pomocą.

Przykre przeżycie, jakim był na początku ogląd mego życia, stało się pozytywnym doświadczeniem. Ujrzałam siebie w zmienionej perspektywie, a swoje grzechy i niedostatki w wielowymiarowym naświetleniu. Owszem, sprawiały przykrość mnie i innym, ale dzięki nim mogłam poprawić swoje postępowanie i udoskonalić sposób myślenia. Wybaczone grzechy zostają wymazane, tak jakby przysłaniało je nowe pojmowanie, inny kierunek w życiu. Nauka z nich wyniesiona jednak pozostaje. W ten sposób wybaczone grzechy przyczyniają się do naszego rozwoju oraz zwiększenia zdolności pomagania innym.

Rozszerzenie mojej wiedzy na ten temat pozwoliło mi na szczerze przebaczenie sobie samej, które daje początek każdemu przebaczeniu. Gdybym nie mogła sobie przebaczyć, nie mogłabym też szczerze przebaczyć innym. A przecież muszę przebaczać bliźnim. To, co daję, jest zarazem tym, co otrzymuję. Skoro pragnę przebaczenia, muszę udzielać przebaczenia. Spostrzegłam też, że postępowanie innych, które najbardziej krytykowałam, prawie zawsze było również moim postępowaniem — lub takim, jakiego się u siebie obawiałam. Bałam się, że w zachowaniu innych rozpoznam swoje własne wady, bałam się swojej potencjalnej słabości.

Przekonałam się, jak niszczące może okazać się pożądanie rzeczy materialnych. Nasz prawdziwy rozwój dotyczy duszy, a chęć posiadania tylko go hamuje. Ziemskie dobra stają się naszymi bożkami, przywiązują nas do ciała, co sprawia, że tracimy duchową niezależność.

Przypomniano mi znów, że najważniejszą rzeczą w życiu jest kochać bliźnich. Ale po to, by móc kochać innych, najpierw trzeba nauczyć się kochać siebie samego. Było we mnie piękno i światło Chrystusa — On je widział! — lecz sama musiałam je odnaleźć. Zabrałam się do tego natychmiast, jakby to był rozkaz, i spostrzegłam, że swoim postępowaniem w ziemskim życiu przytłumiłam dawne piękno własnej duszy. Powinnam sprawić, by znów jaśniała jak dawniej.

Skończył się przegląd mego życia, mężczyźni siedzieli w ciszy, a ja czułam ich nieskończoną miłość. Zbawiciel nadal był ze mną, promieniejący jasnością, uśmiechający się, zadowolony z poczynionych przeze mnie postępów. Mężczyźni znów naradzili się ze sobą, po czym powiedzieli: — Nie wypełniłaś swej misji na ziemi. Powinnaś tam wrócić. Ale nie będziemy cię zmuszać, wybór należy do ciebie. Odpowiedziałam bez wahania:

— Nie, nie. Nie mogę wrócić. Tu jest moje miejsce, mój dom — mówiłam z pełnym przekonaniem. Jeden z mężczyzn powtórzył z naciskiem:

— Twoje dzieło nie jest zakończone. Lepiej, żebyś wróciła.

Aleja wcale nie miałam zamiaru wracać. Już w dzieciństwie nauczyłam się wygrywać takie batalie, więc i teraz użyłam wszystkich tych umiejętności. Rzuciłam się na ziemię i zaczęłam płakać.

— Nie wrócę — szlochałam — nikt mnie do tego nie zmusi. Zostanę właśnie tutaj, bo stąd pochodzę. Skończyłam już z ziemią!

Jezus stał niedaleko mnie, z mojej prawej strony, promieniując jasnością. Kiedy się zbliżył, wyczułam jego troskę. Ale z zatroskaniem przeplatała się nuta rozbawienia. Rozumiał mój nastrój i moje pragnienie, by zostać. Zwrócił się do rady:

— Pokażmy, czego dotyczy jej misja. — Potem rzekł do mnie: — Poznasz swoją misję i będziesz mogła powziąć świadomą decyzję. Ale jeśli wrócisz do swego życia na ziemi, zarówno szczegóły twojej misji, jak i większość tego, co tu widziałas, zostanie wymazane z twojej pamięci.

Zgodziłam się skwapliwie.

Potem już wiedziałam, że muszę wrócić. Mimo że bardzo nie chciałam rozstawać się z tym wspaniałym światem miłości i światła dla pełnego znoju i niepewności świata ziemskiego, niezbędność mojej misji skłoniła mnie do powrotu. Ale najpierw wymogłam od wszystkich obecnych, z Jezusem włącznie, obietnice że z chwilą wypełnienia mego zadania zabiorą mnie tu z powrotem. Nie chciałam spędzić na ziemi ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Zaakceptowali moje warunki.

Zbawiciel powiedział, że bardzo się cieszy z mojej decyzji. Przypomni mi, że gdy znajdę się znów na ziemi, nie będę pamiętała tego, co dotyczy mojej misji.

— Przebywając na ziemi masz się nie zastanawiać nad tym, jakie zadanie masz do spełnienia — nakazał mi. — Wszystko przyjdzie w swoim czasie.

Och, jak On dobrze mnie zna! — pomyślałam wtedy. Wiedziałam, że gdybym pamiętała szczegóły swej misji podczas pobytu na ziemi, wypełniłabym ją możliwie jak najszybciej i prawdopodobnie nieefektywnie.

Wszystko spełniło się zgodnie ze słowami Zbawiciela. Szczegóły dotyczące mojej misji zostały dokładnie wymazane z mej pamięci, nie zostało nawet jedno wspomnienie.

Jeśli zaś chodzi o obietnicę Jezusa, że zabierze mnie do siebie z chwilą, gdy wypełnię swoje zadanie. Jego ostatnie słowa jeszcze brzmiały mi w uszach: „Dni na ziemi są krótkie. Nie będziesz tam długo, niebawem wrócisz tutaj”.

Pożegnanie

Otoczyły mnie tysiące aniołów. Zebrały się licznie, zadowolone, że zdecydowałam się na powrót. Słyszałam, jak mnie pozdrawiają, wspierając mnie swoją miłością i dodając mi odwagi.

Gdy powiodłam po nich wzrokiem, z sercem topniejącym od ich miłości do mnie, zaczęły śpiewać. Żadna muzyka, jaką dotychczas słyszałam, nawet ta w ogrodzie, nie może równać się z tym śpiewem. Był wspaniały, porywający i przeznaczony wyłącznie dla mnie, wyływał z głębokiego uczucia. Głosy miały czyste, pełne słodyczy. Nie pamiętam pieśni, którą śpiewały, ale powiedziano mi, że usłyszę ją jeszcze. Płakałam ze wzruszenia, a mój płacz wtapiał się w niebiańską muzykę. Nie chciało mi się wierzyć, że tak mizerna dusza jak moja mogła być obiektem takiej adoracji, choć wiedziałam już, że w wieczności nie ma istot nieważnych. Każda dusza jest nieskończenie wartościowa. Gdy mój duch przepełniony był pokorą i wdzięcznością po raz ostatni dano mi ujrzeć ziemię z niebiańskiej perspektywy.

Rozstąpiło się niebo, ujrzałam nasz glob i miliardy ludzi żyjących na nim. Zobaczyłam, jak walczą o przeżycie, popełniają błędy, doświadczają dobra, znajdują miłość, oplakują śmierć bliskich. Nad nimi unosili się aniołowie, którzy mieli ich strzec. Niebiańscy stróże cieszyli się, gdy czynione było dobro, smucili, widząc zło. Krążyli w pobliżu, by zawsze służyć pomocą, radą i opieką. Przekonałam się, że możemy wezwać na pomoc tysiące aniołów, jeśli tylko zrobimy to z wiarą. W ich oczach wszyscy jesteśmy równi, duzi czy mali, uzdolnieni czy upośledzeni, przywódcy czy

rządzeni, święci czy grzesznicy. Wszyscy jesteśmy dla nich jednakowo wartościowi. Ich miłość nigdy nas nie opuszcza.

Kiedy moja wizja się skończyła, popatrzyłam po raz ostatni na swoich przyjaciół z wieczności: dwie kobiety, które mnie oprowadzały, swoich trzech wiernych wiodących aniołów i wielu innych, których znałam i kochałam. Byli wspaniali, szlachetni i pełni miłości. Miałam możliwość ujrzeć zaledwie przedsionek nieba, małą część naszego przyszłego domu, miejsce, gdzie istniała wiedza wykraczająca poza najśmielsze marzenia. Czekają tam na nas niewyobrażalnie piękne i wspaniałe rzeczy. Przez jedno mgnienie widziałam niebo, i to mgnienie zawsze będzie dla mnie niezwykle cenne. Anielski śpiew wypełniający me serce miłością to moje ostatnie wspaniałe przeżycie z tamtego świata. Zaczęłam płakać. Wracałam do domu.

Powrót

Nie było żadnych słów pożegnania, po prostu znów znalazłam się w szpitalnym pokoju. Drzwi były nadal uchylone, światło nad umywalką zapalone, a moje ciało spoczywało na łóżku pod kocami. Patrzyłam na nie z góry, unosząc się w powietrzu, przepełniona mieszanymi uczuciami. Wydawało mi się zimne i ciężkie, przypominało stare ubranie robocze, utyłane w błocie i kurzu. Ja zaś czułam się jak po długiej, ożywczej kąpieli, i teraz miałam włożyć na siebie to ciężkie, zimne, zabłocone ubranie. Wiedziałam, że muszę te zrobić — obiecałam — co więcej, musiałam się spieszyć. Gdybym zastanawiała się choćby jeszcze minutę, straciłabym odwagę i umknęła. Szybko więc wślizgnęłam się z powrotem do swego ciała. Gdy już zdecydowałam się przez to przejść, wszystko odbyło się w naturalny sposób.

Krępujący ciężar ciała i jego zimno były okropne. Zaczęłam dygotać i trząść się w środku, jakby przebiegał mnie prąd elektryczny. Znów poczułam w swoim ciele ból i słabość, ogarnęło mnie głębokie przynębnienie. Po tym, jak poznałam duchową wolność, znowu stałam się więźniem ciała. Gdy tak leżałam uwięziona w swym ciele, trzech moi duchowi przyjaciele i przewodnicy w mnisich habitach raz jeszcze pojawili się przy moim łóżku. Przybyli, by mnie pocieszyć. Czułam się jednak zbyt słaba, by ich powitać tak, jak bym chciała. Byli moimi ostatnimi łącznikami z miejscem pełnym miłości i czystości, w którym przebywałam, chciałam więc z całego serca podziękować im za ich cudowną przyjaźń. Chciałam powiedzieć: „Kocham was” — ale mogłam tylko wpatrywać się w nich przez łzy z nadzieją, że zrozumieją.

Nie musiałam nic mówić, rozumieli wszystko. Stali cicho przy mnie, patrząc mi w oczy, dodając ducha i przekazując mi swoją miłość. Ich przesłanie było znakiem naszej wiecznej przyjaźni, którą zawsze będę chroniła jak najświętszy skarb, a ich obecność przyniosła mi wielką ulgę. Wiedziałam, że znają nie tylko moje uczucia, ale i ścieżkę mego nowego życia, ból, jaki będę odczuwała po rozstaniu z nimi, niechęć do dalszego życia na ziemi, trudy mej przyszłej wędrówki. Byli zadowoleni, że zdecydowałam się powrócić na ziemię. Dokonałam słusznego wyboru. Zanim mnie opuścili, kazali mi odpoczywać i wytworzyli atmosferę wielkiego spokoju. Natychmiast zaczęłam zapadać w głęboki, ozdrowieńczy sen. Gdy odpływałam w sen, czułam, jak ogarnia mnie ich miłość.

Nie wiem, jak długo spałam. Kiedy powtórnie otworzyłam powieki, była druga w nocy. Od mojej śmierci upłynęły ponad cztery godziny. Nie wiedziałam, ile czasu spędziłam w świecie duchowym, ale cztery godziny nie wydawały się okresem wystarczająco długim na to wszystko, co mi się przydarzyło. Nie wiedziałam, czy podjęto jakieś zabiegi medyczne, by mnie przywrócić do życia, ani nawet czy ktokolwiek zajrzał w tym czasie do mojego pokoju. Czułam się wypoczęta, nadal jednak nie mogłam otrząsnąć się z głębokiej depresji. Zaczęłam odtwarzać swoje przeżycia, pozwalając im przepływać swobodnie przez mój umysł. Niezwykłym zdziwieniem napełnił mnie fakt, że naprawdę obcowałam ze Zbawicielem, że trzymał mnie w swych ramionach. W miarę jak przypominałam sobie wszystko, czego się nauczyłam w Jego obecności, przybywało mi sił; wiedziałam, że Jego światłość będzie mi wszędzie towarzyszyć.

Już miałam zamknąć oczy, by znów zapaść w sen, kiedy moją uwagę zwróciło nagłe poruszenie przy drzwiach. Spróbowałam unieść się na łokciu, by lepiej widzieć, i wtedy zobaczyłam, że jakiś potwór wtyka głowę do pokoju. Zamarłam przerażona. Zaraz potem pojawił się następny, a potem

dalsze trzy. Były to najszkaradniejsze i najbardziej groteskowe bestie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nadal byłam sparaliżowana strachem. Były to stworzenia na poły ludzkiej, na poły zwierzęcej natury: niskie, muskularne istoty z długimi szponami czy pazurami, o dzikich twarzach. Podeszły w moją stronę, warcząc i sycząc. Były przepełnione nienawiścią, wiedziałam, że chcą mnie zabić. Chciałam krzyknąć, ale byłam na to zbyt słaba lub może zbyt porażona strachem. Czułam się zupełnie bezradna, gdy zbliżyły się do mojego łóżka.

Nagle zostałam przykryta jak kloszem ogromną świetlistą kopułą. Bestie rzuciły się na nią, nadal próbując dostać się do mnie. Ale kopuła była zbyt mocna, by mogły się przez nią przedrzeć. To je rozwścieczyło jeszcze bardziej. Zaczęły wyć, syczeć i pluć. Ja zaś byłam całkowicie bezbronna. Nie wiedziałam, czy kopuła wytrzyma napór bestii.

Kiedy już wydawało mi się, że tego nie zniosę, a mój strach sięgnął zenitu, do pokoju weszli znów moi trzej duchowi przyjaciele, mnisi, i bestie zniknęły. Aniołowie powiedzieli mi, żebym się nie bała, że jestem pod ich opieką. Szatan był zły na mnie za decyzję powrotu na ziemię, i dlatego zesłał swoje demony, by mnie zniszczyły. Ochronna kopuła będzie mnie otaczać przez resztę życia, demony bowiem mogą znów próbować mnie osiągnąć. Mnisi obiecali, że zawsze będą przy mnie i zawsze będę mogła liczyć na ich pomoc i wsparcie. W chwilę później, ku memu wielkiemu żalowi, zniknęli.

Było to moje ostatnie widzenie z trzema przewodnimi aniołami. Nazywałam ich mnichami, ale wiem, że to moi najbliżsi przyjaciele we wszystkich wiecznościach. Z niecierpliwością wyglądam dnia, kiedy będziemy mogli się znów uściskać i odnowić naszą przyjaźń.

Demony pojawiły się raz jeszcze, gdy aniołowie odeszli, ale kopuła skutecznie chroniła mnie przed nimi. Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do męża, i zaczęłam opowiadać mu o demonach. Myślał, że mam halucynacje, zostawił więc jedną z naszych córek, by ze mną rozmawiała przez telefon, a sam pojechał do szpitala. Dziesięć minut później stał w drzwiach mojego pokoju. Nie był w stanie dostrzec bestii, ale stanął przy moim łóżku i trzymał mnie za rękę, podczas gdy ja próbowałam opowiedzieć mu, co zaszło. Wkrótce bestie się zniechęciły i raz jeszcze wyszły, tym razem już na dobre. Doznałam wielkiej ulgi, zaczęłam się uspokajać. Spróbowałam wówczas opowiedzieć mężowi o swoich niezwykłych przeżyciach w innym świecie. Nie zagłębiałam się w szczegóły, ale on i tak wiedział, że zdarzyło się coś bardzo ważnego. Był pełen miłości i troski o mnie. Miłość, jaką mnie darzył, mogła nie być tak doskonała jak miłość aniołów czy Chrystusa, ale mimo wszystko była cudowna i przynosiła ukojenie.

Kiedy Joe był przy mnie, moja dusza krążyła między jednym a drugim światem, jak gdyby mój powrót nie był ostateczny. Pamiętam, że lekarze i pielęgniarki zajmowali się mną przez cały czas; nie wiedziałam, co robili, ale w ich staraniach wyczuwałam napięcie i zaangażowanie. Byłam pogrążona w oglądaniu świata duchowego, gdzie zobaczyłam wiele cudownych rzeczy — zarówno z tego, jak i z tamtego świata. Potem dane mi było przeżyć jeszcze jedno wielkie doświadczenie — już nie w formie wizji, ale raczej wizyty.

Do pokoju weszła śliczna mała dziewczynka. Liczyła sobie zaledwie dwa lub trzy lata — było to jedyne dziecko, jakie widziałam jako duszę. Biła od niej złota poświata, oświetlając w pokoju wszystkie miejsca, przez które przechodziła. Kiedy lekarze i pielęgniarki wyszli na chwilę z pokoju, zapytałam męża, czy ją widzi, ale on odparł, że nie. Miała wdzięk baletniczki, chodziła niemal na czubkach palców i poruszała się tak lekko, jakby tańczyła. Podeszła do Joe i wspięła na paluszki. Potem stanęła na jednej nodze, drugą wyprostowaną wyrzuciła za siebie gestem tancerki, zrobiła skłon do przodu i sięgnęła do kieszeni spodni mojego męża. Zauroczone patrzyłam, jak się porusza. Zapytałam ją, co robi. Odwróciła się wtedy do mnie i roześmiała, lecz nie odpowiedziała. Wyczułam jej wewnętrzną radość, pełnię niezmaconego szczęścia, które ją przepełniało. Zaraz potem zniknęła mi z oczu i nigdy już się nie pojawiła, aleja wiedziałam, że jej nie zapomnę.

Przez kilka następnych godzin lekarze i pielęgniarki wchodzili i wychodzili, kontrolując mój stan. Chociaż poświęcali mi znacznie więcej uwagi niż poprzedniego dnia, ani ja, ani Joe nie podzieliliśmy się z nimi moimi przeżyciami. Następnego dnia rano jeden z lekarzy powiedział: „Miała pani naprawdę ciężką poprzednią noc. Czy może mi pani powiedzieć, co się z panią działo?” Uznałam, że nie mogę mu tego wyjawiać, powiedziałam więc tylko, że miałam koszmary. Było mi trudno opowiadać o swojej podróży w zaświaty, długo też trwało, zanim mogłam w

większym stopniu podzielić się tym z mężem. Wydawało mi się, że mówienie o moich przeżyciach w jakiś sposób je deprecjonuje. Po kilku tygodniach powiedziałam o nich trochę więcej Joe i starszym dzieciom — odnieśli się do tego z całą powagą, rozwiewając wszelkie moje obawy. Miałam się jeszcze wiele nauczyć i wiele dokonać. Następnych parę lat, które miały nadejść, okazało się najtrudniejszymi latami mego życia.

Wyzdrowienie

Zaczęłam popadać w coraz głębszą depresję. Nie mogłam zapomnieć szczęścia, piękna i spokoju świata duchowego, i bardzo chciałam tam wrócić. Świat wirował wokół mnie, a ja bałam się go i modliłam o śmierć. Prosiłam Boga, by mnie do siebie zabrał, błagałam go i zaklinałam, żeby wyzwolił mnie od życia i mojej misji. Zaczęłam cierpieć na agorafobię, lękałam się wyjść z domu. Pamiętam, jak wyglądałam przez okno, skąd widać było skrzynkę pocztową, lecz nie miałam odwagi wyjść po listy. Zapadałam się w głąb siebie powoli konając, i chociaż Joe z dziećmi bardzo mnie podtrzymywali na duchu, wiedziałam, że się im wymykam.

W końcu uświadomiłam sobie jednak, że użalanie się nad sobą nie jest w porządku wobec rodziny. Musiałam powrócić do życia, zostawić za sobą duchowy świat i robić, co do mnie należało. Zmusiłam się, by wyjść z domu. Stopniowo zaczęły pochłaniać mnie zwykłe codzienne obowiązki: zajęcia z dziećmi, działalność dobroczynna, zebrania w kościele, wyjazdy na kemping, rodzinne wakacje i inne tego rodzaju sprawy. Nie stało się to od razu, ale życie znów zaczęło mnie cieszyć. I chociaż sercem pozostałam w świecie duchowym, miłość do życia na ziemi znów we mnie rozkwitła i stała się silniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Pięć lat po doświadczeniu śmierci zapragnęłam pójść do szpitala, by dowiedzieć się, co działo się z moim ciałem tamtej nocy. Do tego czasu zdążyłam się podzielić swoimi przeżyciami z kilkoma przyjaciółmi i wszyscy pytali o to samo: „Czy lekarze wiedzieli, że byłaś martwa?” Nie potrzebowałam potwierdzenia lekarzy, żeby wiedzieć, że umarłam — sam Jezus powiedział mi, że tak było — ale przyjaciele chcieli uzyskać więcej informacji. Umówiłam się więc z lekarzem, który przeprowadzał operację, i poszłam do niego. Poczekałnia była pełna kobiet czekających na wizytę. Pielęgniarka zapowiedziała, że doktor się spóźni. Odczułam zawstydzenie, że zabieram jego cenny czas — tamte kobiety przecież bardziej go potrzebowały niż ja. Mimo to czekałam i w końcu została poproszona do gabinetu.

Kiedy wszedł, poznał mnie i zapytał, w czym może mi pomóc. Przypomniałam mu swoją operację i oświadczyłam, że muszę poznać prawdę o wszystkim, co nastąpiło tamtej nocy po operacji. Zapytał, dlaczego chcę to wiedzieć, zaczęłam więc relacjonować mu fragmenty swoich przeżyć. Upłynęło czterdzieści pięć minut. W poczekalni pełno było czekających na niego ludzi, ale on siedział nieporuszony. Zakończyłam wyjaśniając, że nie szukam pretekstu, by go zaskarżyć, chcę tylko wiedzieć, co się wtedy ze mną działo — i że to dla mnie bardzo ważne. Bez słowa wstał i podszedł do kartoteki. Kiedy wrócił, miał w oczach łzy. Owszem, powiedział, tej nocy miały miejsce komplikacje, przez chwilę wydawało się nawet, że jestem stracona, ale sądził, że lepiej mi o tym nie wspominać. Podczas operacji straciłam dużo krwi, potem miałam krwotok jeszcze raz, w nocy. W momencie zgonu nikogo przy mnie nie było, ponieważ akurat wypadła zmiana dyżuru pielęgniarek. Nie mógł mi więc powiedzieć, jak długo byłam martwa. Lekarze i pielęgniarki zajęli się mną dopiero rano i reanimowali mnie przez całe przedpołudnie.

Zapytałam doktora, dlaczego płacze. Odpowiedział, że te łzy są łzami szczęścia. Niedawno stracił bliską osobę, i w mojej opowieści znalazł nadzieję. Moje przeżycia z tamtego świata przyniosły mu pocieszenie. Wspomnił też, że pewien pacjent przed kilkoma laty miał podobne doświadczenia — i wiele szczegółów pokrywało się z moją opowieścią. Znalazł pociechę, dowiadując się, że życie nie kończy się wraz ze śmiercią i że spotkamy jeszcze naszych bliskich.

Po wyjściu z gabinetu poczułam się wolna. Mogłam na zawsze zapomnieć o szczegółach swojej fizycznej śmierci. Innym zaś mogłam powiedzieć zgodnie z prawdą, że naprawdę umarłam i powróciłam do życia.

Mój wyjątkowy anioł

W rok po owej wizycie u lekarza i sześć lat po moim przeżyciu zadzwoniła do mnie moja siostra Dorothy z niecodzienną historią. Opowiedziała mi o kobiecie spodziewającej się dziecka, które ma zostać oddane do adopcji. Oboje z mężem byli alkoholikami i już zabrano im z tego powodu jedno dziecko. Niestety, rodzina, która wzięła pierwsze dziecko, miała za dużo dzieci, by przyjąć jeszcze i to. Ponieważ dziecko było rdzennie amerykańskiego pochodzenia, chciano, by zostało wzięte także przez amerykańskich rodziców, najlepiej mających już dużą rodzinę.

Dorothy wiedziała, że przez jakiś czas przeżywałam depresję, i pomyślała, że gdybym się zajęła jeszcze jednym dzieckiem — byłoby to już ósme — pomogłoby mi to wrócić do normalnego stanu. Potrzebny był ktoś, kto wzięłby dziecko na parę miesięcy. Przedyskutowałam to z Joe i całą rodziną i mimo że właśnie zapisałam się na społeczny uniwersytet, by zacząć zdobywać wyższe wykształcenie, zaczęłam rozważać tę propozycję. Moja córka, Cheryl, właśnie oczekiwała dziecka i powiedziała, że mogłaby codziennie wpadać, by mi pomagać, aż nabiorę wprawy w opiekowaniu się niemowlęciem. Joe przyznał, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby w domu znów było maleństwo — nasze najmłodsze dziecko miało dwanaście lat. Powiedziałam „tak” i zanim pracownica socjalna przyniosła nam do domu naszą drogą dziewczuszkę, miałam już wszystko przygotowane; wyciągnęliśmy starą kołyskę, którą przechowywaliśmy dla wnuków, oraz inne drobiazgi używane przez nasze dzieci. Przywiązałam się do małej natychmiast, tworząc więź trudną do zerwania. Powtarzałam sobie wprawdzie, że przecież wkrótce ją zabiorą, ale moje serce nie chciało tego słuchać.

Sąd miał pewne trudności w znalezieniu nowego domu w obrębie bliskiej rodziny dziecka. Minęły dwa miesiące. Mojej córce urodził się chłopczyk. Odwiedzałam więc ich tak często, jak to tylko było możliwe, zabierając ze sobą swoją przybraną córeczkę.

Była wesoła, pogodna i stale chciała, by ją pieścić. Kiedy chorowała lub szukała pociechy, wtulała noskę w moją szyję, by czuć mój oddech na swojej buzi. To ją uspokajało, kiedy zawodziły wszystkie inne metody. Oczywiście kochała ją cała rodzina. Z rana nasi synkowie, dwunasto- i czternastoletni, wykradali ją z łóżeczka i zanosili do wspólnego pokoju, by się z nią bawić.

W wieku dziesięciu miesięcy zaczęła chodzić. Jej oliwkowa cera była zdrowa i rumiana, jak u innych dzieci. Codziennie rano nacierałam całe jej ciało emulsją, aż skóra robiła się delikatna jak jedwab. Uwielbiałam wdychać jej zapach. Moja miłość do niej z każdym miesiącem rosła, aż całkiem zapomniałam, że to nie moje dziecko.

Miała dziesięć i pół miesiąca, kiedy pracownica socjalna zadzwoniła do mnie z wiadomością, że znaleziono jej krewnych w innym stanie. Adopcyjni rodzice przyjadą zabrać dziewczynkę za jakieś parę dni. Byłam jak ogłuszona. Joe i ja podpisaliśmy zobowiązanie, że nie będziemy się ubiegać o jej zaadoptowanie, i teraz byliśmy zdesperowani. Przez cały czas wiedzieliśmy, że u nas nie zostanie, ale teraz byłam w największej rozpacz, jaką tylko może odczuwać matka. Miałam stracić swoje dziecko.

Otępiała pakowałam jej rzeczy. Ludzie mówili coś do mnie, ale ja ich nie słyszałam. Przez głowę przelatywały mi pytania, na które nie było odpowiedzi. Nigdy bym nie uwierzyła, że tak mocno związę się uczuciowo — że tak bardzo będę kochać. Jak mogłam do tego dopuścić? Gdzie się podziała moja siła?

Kiedy nadjechali nowi rodzice, sama zaniiosłam naszą dziewczynkę do samochodu. Początkowo myślała, że obie mamy gdzieś jechać, więc radośnie przytuliła się do mnie, a reszcie rodziny powiedziała „pa, pa”. Byli tak samo otępiali jak ja. Rodzice adopcyjni czekali w samochodzie i nic nie mówili. Byłam im za to wdzięczna. Nie istniały słowa, które by mnie mogły pocieszyć. Kiedy nowa matka wyciągnęła ręce po moje maleństwo, serce podeszło mi do gardła. Chciałam uciec z dzieciątkiem, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

Maleństwo zorientowało się, że się je zabiera ode mnie, i zaczęło krzyczeć. Serce mi się krajało. Samochód odjechał, a ja stałam nieporuszona. Wizja mojej najdroższej dziewczynki, płaczącej i wyciągającej do mnie rączki, paliła mi duszę. Załamana pobiegłam do domu. Ten palący obraz miał mnie dręczyć przez następne miesiące.

Wszystko w domu przypominało mi o niej — pianino, przy którym uwielbiała siadać i udawała, że

jest dorosła, kojec pełen zabawek, łóżeczko z pustą butelką. A najbardziej — cisza.

Po trzech miesiącach nie mogłam tego dłużej znieść i zaczęłam modlić się do Boga, by mi ją zwrócił. Wspomnienia były zbyt świeże i zbyt bolesne, by jakiegokolwiek pocieszenie było możliwe. Nikt o niej nie mówił, ale wiedziałam, że Joe i dzieci również cierpią; była potrzebna nam wszystkim. Wreszcie któreś nocy, kiedy już zupełnie się załamalam uświadomiwszy sobie, że jej nie odzyskamy, zaczęłam się modlić za rodzinę, która ją zabrała. Prosiłam Boga, by ich pobłogosławił, tak by mogli uczynić ją szczęśliwą. Prosiłam Go także, by pomógł naszej malutkiej zaakceptować nowe otoczenie i odnaleźć radość i spokój. Modliłam się z całego serca. W końcu powiedziałam sobie, że wszystko jest w ręku Boga, i zapadłam w sen.

Kilka godzin później obudził mnie zwiastun ze świata duchowego, który powiedział, że niedobrze się dzieje z moim dzieciątkiem i że będzie mi ono zwrócone. Przedtem otrzymam telefon, w którym mój rozmówca powie: „Mam dwie wiadomości — dobrą i złą”. Przez resztę nocy nie zmrużyłam oka. Nie wychodziłam z domu całe następne dwa tygodnie. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, biegłam myśląc, że to właśnie ten zapowiedziany przez zwiastuna. Opowiedziałam o nim Dorothy, ale nie mogłam się zdobyć na to, by opowiedzieć o tym pozostałym członkom rodziny, nawet Joe nic nie wspomniałam. Wydawało mi się, że i tak nadużyłam ich cierpliwości.

Któregoś dnia wcześniej rano poderwał mnie dzwonek telefonu i usłyszałam bezbarwny głos mówiący:

„Betty, tu Ellen. Mam dwie wiadomości—dobrą i złą”. Usiadłam na łóżku i zawołałam: „Zaczekaj! Zaczekaj chwilę!” Zostałam wyrwana ze snu, więc myślałam, że nadal śnię. Wygramoliłam się z łóżka i spojrzałam w lustro, by się upewnić, że to dzieje się naprawdę, po czym złapałam za słuchawkę i powiedziałam: „W porządku. Słucham cię”. Serce waliło mi tak mocno, że czułam jego pulsowanie w bębenkach. Ellen wyjaśniła, że moje maleństwo jest w szpitalu. „Nie przystosowała się do nowej rodziny — mówiła — i cały czas płacze. Ty byłaś jej mamusią przez dziesięć miesięcy i ona ciebie szuka”.

Potem dodała, że nieustanny płacz dziecka tak bardzo złościł rodziców, iż pewnej nocy po pijanemu pobili ją i zrzucili ze schodów. Dziecko zostało wtedy zabrane do szpitala i tam pozostawione. Od dwóch tygodni jest w krytycznym stanie. Nie reaguje na lekarstwa i lekarze orzekli, że będąc w takim stanie emocjonalnym może w ogóle nie wyzdrowieć. Na koniec Ellen powiedziała: „Betty, w tobie nasza ostatnia nadzieja. Wiemy, że to wielka prośba, ale może mogłabyś ją wziąć z powrotem na jakiś czas, przynajmniej dopóki jej się nie polepszy?”

Zrobiło mi się słabo, zaczęłam spazmatycznie chwytać powietrze. „Mogę zadzwonić do ciebie za chwilę?” — zapytałam. Było wpół do ósmej i Joe pojechał już do pracy. Podbiegłam do schodów i zaczęłam zwoływać dzieci. Powiedziałam im, że mam wspaniałą nowinę, ale nie mogłam nic więcej z siebie wydusić, gardło miałam ściśnięte, słowa nie mogły przejść mi przez usta. Dzieci obstąpiły mnie przy telefonie i słuchały, jak próbowałam opowiedzieć Joe, co się stało. Powiedział, że zaraz będzie w domu. Jego głos był bardziej spokojny niż mój, i to dodało mi otuchy. Poczulałam, że znowu odżywam, i wtedy uświadomiłam sobie, że jeszcze nie dałam Ellen odpowiedzi — podekscytowana przerwałam rozmowę. Wykręciłam jej numer i nagle wpadłam w panikę na myśl, że może źle ją zrozumiałam. Co będzie, jeśli wszystko okaże się pomyłką? Kiedy odebrała telefon, poprosiłam ją, by mi wszystko jeszcze raz powtórzyła. Spełniła moją prośbę i dodała, że właśnie leci do miejscowości, w której zostawiono dziecko. Chciałam lecieć razem z nią, ale odparła, że to nie byłoby właściwe. Powiedziała mi jednak, gdzie się dziecko znajduje, więc gdy tylko odłożyła słuchawkę, wykręciłam numer biura podróży, by zarezerwować sobie miejsce w tym samym samolocie. Zadzwoniłam do niej jeszcze raz i powiedziałam, że lecimy razem. Ociągając się obiecała mi, że spotka mnie na lotnisku. W porcie docelowym miał na nas czekać pracownik socjalny z dzieckiem. Lot był bardzo długi i gdy tylko opuściliśmy samolot, pobiegłam do hali przylotów, by szukać swojego dzieciątka.

Wiedziałam, że pracownikiem socjalnym jest mężczyzna, szukałam więc samotnego mężczyzny z dzieckiem. Myślałam, że oszaleję, kiedy nie mogłam ich znaleźć. Doskonale wiedziałam, jak dziecko wygląda, więc dlaczego nie mogłam go znaleźć? Wreszcie spostrzegłam ich w jakimś miejscu, ale dziecko na rękach mężczyzny w niczym nie przypominało tego, które

miałam w pamięci. Mimo to wiedziałam, że to właśnie ono. „To moja dziecina!” — usłyszałam własny krzyk, gdy biegłam do nich.

Była prawie całkiem łysa, tu i ówdzie sterczały tylko kępki włosów. Oczy miała zapuchnięte, jedną brew przeciętą i stłuczoną. Poznała mnie natychmiast. Wczepiła się we mnie mocno obiema rączkami, a nóżkami ciasno oplotła moje biodra. „Co oni z nią zrobili? Co oni zrobili?” — powtarzałam płacząc. Pracownik socjalny patrzył na mnie ze zdziwieniem. Ellen podeszła do nas i wyjaśniła, że wszystko jest w porządku, że jestem matką dziecka.

Joe i szóstka naszych dzieci wyszli po nas na lotnisko, gdy wróciliśmy. Mieli oczy błyszczące z podniecenia i pełne łez, kiedy dostrzegli małe zawiniątko w moich rękach. Dziecina zobaczyła ich i chętnie dała się wziąć każdemu na ręce, ale tylko na krótko, gdyż zaraz chciała wracać do mnie. Trzymała się mnie tak mocno, jak gdyby od tego zależało jej życie.

Przez następnych kilka miesięcy nie pozwalała mi zniknąć z zasięgu jej wzroku. Uświadomiliśmy sobie, jakie spustoszenia uczyniono w jej wrażliwej psychice. Z nikim nie rozmawiała, nie chciała chodzić, a jej twarzyczka nadal pozostawała bez wyrazu. Wydawała głos tylko wtedy, gdy traciła mnie z oczu — wtedy krzyczała, dopóki nie wróciłam. W końcu owinęłam ją szalem i przywiązałam do siebie, żeby móc cokolwiek zrobić w domu. W ten sposób, związane razem, spędziłyśmy kilka miesięcy. Postawiłam jej łóżeczko przy moim łóżku i kładłam się wcześniej każdego wieczoru, gdyż nie chciała iść spać, jeśli nie było mnie przy niej. Początkowo jej łóżeczko stało tuż przy moim łóżku, tak że mogłam wsunąć rękę przez sztachetki i trzymać ją za rączkę, dopóki nie usnęła. Po kilku miesiącach zaczęłam codziennie odsuwać łóżeczko trochę dalej, aż wreszcie przyzwyczaiła się spać po drugiej stronie pokoju.

Wynajęliśmy z Joe adwokata, który natychmiast wszczął sprawę o adopcję. Wzięliśmy także malutką na badania do szpitala, by mieć dowody wyrządzonej jej krzywdy. Okazało się, że oprócz widocznych skaleczeń i siniaków miała także złamaną rączkę, była odwodniona, niedożywiona, a na skórze głowy miała rany od wrywania jej całych pęków włosów. Jej stanu psychicznego można się było tylko domyślać, ale rozpaczliwe wczepianie się we mnie i niedopuszczanie do siebie nikogo innego dowodziło głębokiej nieufności. Doktor uznał, że jej wyzdrowienie zależy od stałego, niczym nie zakłóconego pobytu w normalnej rodzinie, takiej jak nasza.

Sąd rozpatrzył wszystkie dowody i wkrótce wydał decyzję — dziecina była nasza. Joe postanowił zmienić jej imię i mimo że sprzeciwiałam się temu, rodzina mnie przegłosowała. Nie mogli nie zauważyć podobieństw naszych osobowości i głębokiej więzi, jaka nas łączyła: zostało jej nadane imię Betty Jean — po mnie, jej matce.

Gdy skończyła dwa i pół roczku, wyzdrowiała całkowicie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Stała się znów najdroższym i najweselszym dzieckiem w naszym domu, nieustannie nas zadziwiając swoim poczuciem humoru. Któregoś ranka podbiegła do Joe. Figlarny uśmiech pojawił się na jej buzi, gdy stanęła na jednej nóżce, na samych czubkach palców, drugą wyrzuciła za siebie i utrzymując równowagę jak baletniczka pochyliła się do przodu, by sięgnąć do kieszeni spodni Joe. Przebiegł mnie dreszcz, gdy wróciło do mnie tamto wspomnienie. Mała Betty roześmiała się, i poznałam głos dziewczynki, która była razem z nami w pokoju szpitalnym, kiedy niebo i ziemia wydawały się jednym. Zrozumiałam wtedy jeszcze coś więcej. Powróciła do mnie wizja młodej kobiety, pamięć o pięknej i pełnej energii duszy, która kiedyś czekała na swe przyjscie na ziemię. Pamiętałam ją jako młodą duszyczkę, której uroda i energia tak mnie urzekły. Chciało mi się płakać, gdy uświadomiłam sobie to wszystko. Dane mi ją było widzieć pod postacią duszy dziecka. Teraz rozumiałam, dlaczego pokazano mi także jej dorosłą duszę, gotową do zejścia na ziemię. Skoro nie mogłam jej urodzić z powodu operacji macicy, znalazła inny sposób, by stać się częścią mego życia. Zrozumiałam, dlaczego musiałam wziąć ją jako dziecko. Byłyśmy zawsze najbliższymi przyjaciółkami, mającymi wspólne przeżycia w minionych wiecznościach i tych, które miały nadejść.

Moje dzieci dorosły, większość z nich opuściła już dom. Założyły własne rodziny i weszły na własne ścieżki swego rozwoju. Oboje z Joe nadal staramy się pomagać im w trudnych momentach, ale wiemy, że nie będziemy żyli za nich ich życiem, zresztą wcale tego nie chcielibyśmy. Zdajemy

sobie sprawę z tego, że to takie same istoty jak my, zesłane z nieba na ziemię dla nabycia doświadczeń. Nie możemy przeżyć za nich ich smutków, tak jak nie możemy zaplanować ich radości. Jedyne, co możemy dla nich zrobić, to pozostać rodziną. Jedyne, co możemy im dać, to miłość.

Od 18 listopada 1973 roku zaznałam następnych doświadczeń, ale mam opory przed wyjawianiem ich tutaj. Trzeba mi było dziesięć lat i niezliczonych namów, żebym w końcu zdecydowała się podzielić poprzednimi moimi przeżyciami z innymi ludźmi.

Wszystko ma swoją porę; jeśli chodzi o tę książkę, teraz właśnie jest jej pora.

Zastanawiam się od czasu do czasu, czego wymagać będzie jeszcze moja misja, ale oczywiście nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Dane mi było żyć w światłości Jezusa Chrystusa i przyjmować Jego miłość w swoim życiu. W ten sposób, przypuszczam, będę mogła zrobić wszystko, czego może ode mnie zażądać.

Musimy kochać jedni drugich. Musimy być dobrzy, tolerancyjni i z poświęceniem służyć innym. Radość płynąca z tej miłości przewyższa każdą inną radość. Widziałam, jak wspaniałe przynosi rezultaty. Tylko te przeżycia są ważne, które pomagają nam lepiej kochać. Wszystko inne jest zaledwie mało ważnym dodatkiem. Chodzi tylko o to, by wypełniać przesłanie Zbawiciela: „Ponad wszystko inne, kochajcie się”.

Nadal będę się starała to czynić.